

Władysław Stanisław Reymont - życie



W roku 1924 Akademia Szwedzka przyznała po raz dwudziesty drugi Nagrodę Nobla w dziedzinie literatury. Wśród kandydatów do uhonorowania pojawiały się nazwiska takich sław jak Tomasz Mann, Maksym Gorki czy Thomas Hardy. Wymieniano też dwóch pisarzy z Polski, kraju od kilku zaledwie lat na nowo istniejącego na mapie Europy: Stefana Żeromskiego i Władysława Stanisława Reymonta. Nagrodę Nobla otrzymał autor „Chłopów”, za tę właśnie powieść

Nagroda Nobla niedługo cieszyła pisarza - rok później, w wieku 57 lat zmarł. Choroby, z którymi borykał się całe życie, sprawiły, że i samej nagrody nie mógł odebrać osobiście. Depesza o Noblu zastała go w Nicei, gdzie przebywał na kolejnej kuracji. W liście do przyjaciela tak pisał o nagrodzie: „Sprawiła mi nie radość, a głębokie wzruszenie. Mówiąc otwarcie, nie miałem żadnej nadziei. Na cóż ja mogłem liczyć? Chyba na jakiś szczęśliwy wypadek. I prawdopodobnie ten jakiś szczęśliwy wypadek zwyciężył. Oszłamiony jestem tą niespodzianką. I w takich okolicznościach przyszła, że wygląda na gorzką ironię życia. Bo na cóż mi to wszystko? Chory jestem, miałem świeżo zapalenie płuc. Odszedłem wewnętrznie od świata i spraw jego. Marzyłem jeno o ciszy i możliwości spokojnego pracowania, jak o największym szczęściu. Naraz otwierają się wielkie drzwi rozgłosu!”

Droga do Nobla autora „Chłopów” bierze swój początek we wsi Kobile Wielkie, w Łódzkiem, gdzie w roku 1867 w rodzinie organisty wiejskiego przyszedł na świat jako piąte, spośród dziewięciorga, dziecko, Stanisław Władysław Rejment. Nazwisko zmodyfikuje i imiona przestawi od momentu pierwszego opublikowanego utworu. Tymczasem mały Staś przenosi się z borykającą się z kłopotami finansowymi rodziną na małe gospodarstwo pod łodzią. Chłopiec sam nauczył się czytać, a lektury jego były dość przypadkowe: „Lilla Weneda” Słowackiego przeczytana po kryjomu w wieku sześciu lat czy gazety, zamykane przed nim przez ojca. Nauka w szkole nie pociągała jednak Stasia; nie chciał być też organistą, jak

ojciec, marzył za to o malarstwie. Ostatecznie umieszczony został u siostry

w Warszawie, gdzie miał chodzić do szkoły i nauczyć się krawiectwa. Tymczasem rodzina przeniosła się na kolejne gospodarstwo, Wolbórkę; tam atrakcją dla chłopca jest młyn, rzeczka i staw. Do Wolbórki właśnie parokrotnie uciekał młody Rejment ze stolicy, nie chcąc być krawcem - zaczynał bowiem pisać, układać wiersze i poematy. Wierszem też buntuje się przeciwko założonemu dla niego życiu rzemieślnika: „Mnie być w terminie, mnie krawiectwo w głowie. Mnie, co ma dusza klasyczna w połowie. I oni by mnie krawczykiem może nazwać chcieli. Mnie! Czy ci ludzie znów nie zidocieli?”. Rodzina jednak skłania młodzieńca do dokończenia nauki i siedemnastoletni Stanisław Rejment, po sprezentowaniu uszytego przez siebie fraka, uzyskuje dyplom czeladnika krawieckiego.

Młody „krawczyk” nie pozostał w rzemiośle. Zaprzyjaźnił się ze środowiskiem aktorskim, opuścił Warszawę i przez trzy lata wiódł nędzny los w wędrownych teatrach. Nie miał talentu, by grać na scenie, ale, jak pisał w liście do siostry, „teatr to moje właściwe pole; ma się rozumieć, że teraz muszę się zadowalniać rolami drugo- i trzeciorzędnymi.” Żył bardzo biednie, o czym też siostrze donosił: „wierz mi, że teatr nie jest takim złem, jak go przedstawiają, a ma to dobre, że uczy żyć oszczędnie; trochę za oszczędnie, ale cóż robić”. Nie miał wsparcia od rodziny: „do Ojca pisałem dwa listy, na które Ojciec uznał za stosowne nie odpowiadać; wcale nic

dziwnego: aktorem włączyć ma się zajmować?”. Pomocy zaś bardzo potrzebował, jak żalił się dalej siostrze: „Jestem chory prawie od miesiąca, ale nie tak, żebym potrzebował leżeć lub leczyć się radykalnie, ale czuję chorobę w sobie i nieomal z przestrachem myślę o tym, jakbym naprawdę zachorował. A tu bieda w całym znaczeniu tego słowa - do tego stopnia, że musiałem zostawić za 6 rubli dług za mieszkanie i życie wszystkie rzeczy, poczynwszy od spodni, skończywszy na bieliźnie; jednym słowem, zostałem na czysto bez niczego”. Bieda ta skłoniła niespełnionego aktora do porzucenia teatru i zatrudnieniu się na kolei; w roku 1889 został pomocnikiem dozorca na linii Krosnowa - Lipce. Bardzo małe zarobki skłoniły go do porzucenia posady, ale po kolejnym epizodzie teatral-



nym wrócił na kolej. Niespokojny tryb życia i bieda sprawiły, że rok później przeszedł głodowe zapalenie kiszek. Zdrowie młodego, dwudziestotrzyletniego zaledwie człowieka, zostało poważnie nadzarpnięte; do końca życia i przedwczesnej śmierci chorował i wymagał częstych kuracji.

Mimo nędznej egzystencji Stanisław Rejmont wciąż pisał. Pierwszy wydrukowany utwór zapoczątkował odmianę losu przyszłego noblisty. W roku 1892 w czasopiśmie krakowskim „Myśl” ukazała się nowela „Wigilia Bożego Narodzenia”, podpisana przez autora już jako Władysław Stanisław Rejmont. Odtąd głodujący jeszcze literat, bo pierwsze lata po porzuceniu posady na kolei i przeniesieniu się do Warszawy będą bardzo trudne, poświęca się pisaniu; w liście do Władysława Orkana tak obrazuje początki: „Ja z pierwszą książką, z „Komediantką”, całe pół roku chodziłem po wydawcach i redakcjach, nim ją sprzedałem za całe 300

rubli - na druk w piśmie i wydanie książkowe. Zdychałem z głodu, więc musiałem”. Drukuje kolejne utwory, ale życie wiedzie nadal niespokojne - zainteresowanie spirytyzmem i wyjazdy do Londynu z Towarzystwem Teozoficznym, zamysł wstąpienia do zakonu paulinów na Jasnej Górze, podróże do Włoch i Paryża. Powoli status materialny Reymonta zaczynał się poprawiać, wraz ze wzrostem honorariów za publikacje. Uzyskane środki pisarz wydawał jednak głównie na podróże, powodowane nieustannym niepokojem, chęcią poznawania świata i potrzebą nowych wrażeń. Miejsca pobytu zmieniał Reymont często: w samym roku 1896 przebywał w Berlinie, Brukseli, Ostendzie i Londynie; a pracował przecież wtedy intensywnie nad „Ziemią obiecaną”. Rok następny wypełniony był wyjazdami do Szwajcarii, Anglii i Wilna, w międzyczasie zaś pisarz przebywał w Paryżu, Warszawie i Wolbórze. Rozmach planów wojażowych widać w listach Reymonta do brata; w tym pisanym z Paryża donosi: „Marszruta taka mniej więcej: Paryż - Marsylia koleją, stamtąd morzem do Barcelony i przez cały kraj, omijając Madryt, do którego nie będziemy nawet wstępować, przez Kastylie, Katalonię, Andaluzję znowu do morza. Mała wycieczka do Maroka i Tangeru, a z tamtejszego portu Fezu powrót wodą do Hawru. (...) To są najbliższe plany. Trochę dalsze są takie, że w czerwcu muszę być w kraju koniecznie (mam zamiar być trzy miesiące) i jechać na lipiec i sierpień na Ukrainę do znajomych, jakich tutaj poznałem”.

Podróże dostarczały Reymontowi nowych znajomości i wrażeń. Były mu wręcz niezbędne; jak pisał do brata: „Muszę, słyszysz, muszę być trzy lata w świecie: rok w Paryżu, aby ośwładnąć dobrze francuskim i pochodzić nieco do Sorbony na filozofię; rok następny w Londynie dla tego samego prawie - i języka, i nauk społecznych; i ostatni rok albo w Szwajcarii, albo w Niemczech, albo zresztą na Wschodzie”. W 1902 roku pisarz ożenił się z Aurelią Szabłowską, i podróże odbywali małżonkowie razem, coraz częściej dla podratowania słabego zdrowia Reymonta, jak do Otwocka czy Zakopanego. W 1919 roku autor „Chłopów” przedsięwziął podróż do Ameryki, mimo ciężkiej choroby serca, na którą zapadł wcześniej w Paryżu. Rok później podjął próbę, by osiąść na własnej ziemi - nabył majątek ziemski Kołaczkowo, liczący około 213 ha, w województwie poznańskim.

Kołaczkowo zaczęło stawać się ogniskiem skupiającym myśli pisarza. Nie mógł sam zarządzać majątkiem, a nawet nie spędzał w nim za dużo czasu, przebywając w szpitalach i sanatoriach, ale to właśnie w Kołaczkwie czuł się lepiej, a, jak pisał, to zasługa „wsi, powietrza i pewnego spokoju”. Pieczę nad majątkiem sprawowała siostra pisarza, a sam Reymont na początku zasypywał ją z wyjazdów listownie pytaniami: „Czy piec stawiają? Czy już zaczęli podnosić dach w oborze? I co tam w domu? Jak sprawa się gospodyni i reszta służby? Co robi na górze stolarz? Co porabia ogrodnik? Czy były tam jakie deszcze?”. Po paru miesiącach w listach obok pytań do siostry pojawiały się i rozporządzenia: „Powiedz ogrodnikowi, że jak będzie miał czas, no i jak będzie można, to niech kołkami oznaczy koło domu te aleje, jakie ma na rysunku. Czy założył już nowe inspekta? Czy brałaś zboże od Sośnickiego i posyłałaś je do młyna? Za zmielenie zapłać. Ciekawym, czy krowy zaczęły się już cielić? Ale z tym karmnikiem, który się oprosił, to heca. Każ jednak tym odstawionym dla nas tucznikom już dawać jeść lepiej, dawaj ospę. Ale z drobiem to prawdziwa bieda. Ta nowa gospodyni to podobno specjalistka od chowania drobiu - zobaczymy”. W liście z marca 1922 roku siostra Reymonta przeczytała: „Ciekawym, czy w

Kończakowie również mokro i czy już puściła ziemia? Co robi ogrodnik? Czy już ma inspekta? Powinien teraz na gwałt obcinać drzewa, skrobać je, bielić i okopać. Na jesień nie zdążył, to niech teraz obłoży drzewa owocowe nawozem lub podleje gnojówką. Ponieważ konie niewiele mają roboty, to Rulewicz mógłby wozić z wielkiego podwórza lub z kupy przy sadzie starą kompostową ziemię na klomb przed domem, ten okrągły, gdzie stoi wazon. Niech zwozi i składa na brzegach klombu kupa przy kupie, dookoła. Klomb ma się powiększać, więc ta ziemia się przyda, tylko niech ziemię zruca na samym klombie, a nie na piasku. A jak zawiezie klomb, to potrzeba wozić na trawnik przy oficynie, pomiędzy te dwa bzy; cały brzeg niech zawiezie koło słupa z dawnym zegarem - ogrodnik będzie wiedział". W dalszej treści listu, oprócz troski o psy i drób, pisze Reymont o sadzeniu drzewek: „Załączam list do Miłostawia, daj go ogrodnikowi, niech z nim jedzie i drzewka przywiezie, i zasadzi: jesiony pod parkanem od chlewów aż do owczarni, a topole za parkanem od owczarni aż do stodoły. Resztę drzewek niech zadołuje do mojego przyjazdu". List jest obszerny, o różnych sprawach, ale w postscriptum dalej o drzewkach: „Po drzewka niech jadą jak najprędzej i niech zaraz ogrodnik każe kopać doły. I jeszcze jedno: w końcu marca przyjdzie 30 drzewek owocowych, jabłoni antonówek. Trzeba zaraz wykopać doły w tej kwaterze, gdzie była kapusta

nasza. Niech ogrodnik zajmuje ją całą pod drzewka i posadzi tak daleko od drzewka, jak sadził jesienią. Doły zaraz kopać." Nie koniec jednak myśli Reymonta o sadzie kończakowskim, bo już nazajutrz siostra jego otrzymała kolejny list: „We wczorajszym liście źle wskazałem miejsce, gdzie mają kopać doły pod jabłonie, otóż nie na kwaterze, gdzie była kapusta, ale w kwaterze następnej, środkowej, położonej pomiędzy zeszłorocznym kapuśniskiem naszym a p. Sośnickiego. Dołów trzeba 30, jeśli się nie zmieściły w jednej kwaterze, to niech resztę sadzą za ulicą, aż do żywopłotu warzywnika. Drzewka przyjdą pod koniec marca, ale doły powinny być zaraz wykopane i podsypane dobrą ziemią".

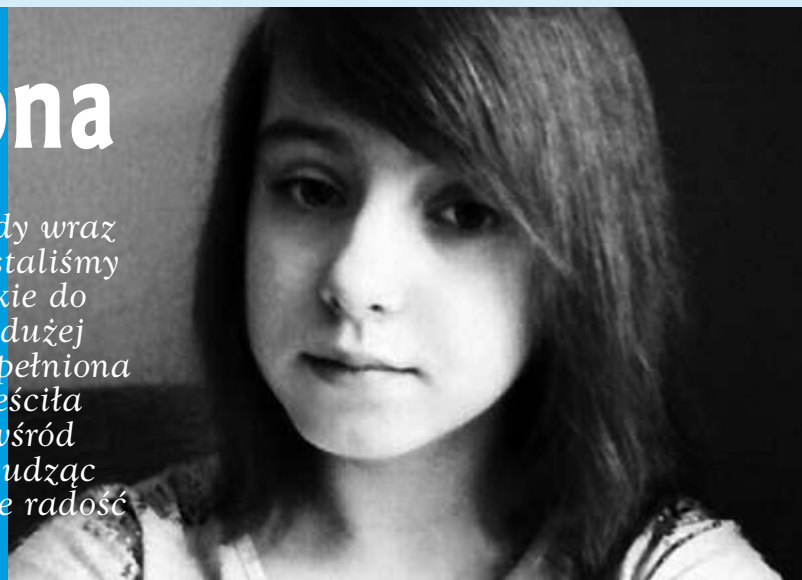
Być może doczekał się Reymont owoców z owych jabłonek antonówek, bo ostatnie lato swego życia, lato roku 1925 spędził właśnie w Kończakowie. Po dożynkach w Wierchosławicach, gdzie był fetowany za „Chłopów", przewieziony do szpitala, gościł, a na początku grudnia zmarł. Pochowany został w Alei Zasłużonych na Powązkach. W pogrzebie uczestniczyły tysiące ludzi, trumnę niósł m.in. Leopold Staff, w kondukcje szli Roman Dmowski, prezydent Stanisław Wojciechowski, a mowy pogrzebowe, które wygłosili Jarosław Iwaszkiewicz czy Wincenty Witos, miały ten sam ton: hołd wielkiemu twórcy, który unieśmiertelnił lud polski.

Jolanta Betkowska, Słupsk

Misja uskrzydłona



Minęło kilka lat od czasu, kiedy wraz z Wandą Majewicz-Kulon, zostaliśmy zaproszeni na spotkanie autorskie do Gminnej Biblioteki w Lipnicy, dużej wsi w powiecie bytowskim. Wypełniona po brzegi sala biblioteki nie mieściła wszystkich miłośników poezji, wśród których przeważała młodzież, budząc nasze zdumienie, a jednocześnie radość



Na spotkaniu tym czytaliśmy swoje wiersze, odpowiadaliśmy na pytania, obiecując ponowny przyjazd, z nowymi tekstami. Nie przyszłoby mi wtedy do głowy, że z Lipnicą związane zostaną wydarzenia, które być może miały swój początek właśnie dzięki spotkaniu, o którym wspominałem, a współautorem ich będzie mój wspaniały kolega, nauczyciel, malarz, muzyk i poeta - Władysław Kowalski. Występował kiedyś na uroczystościach w Damnicy, śpiewając z gitarą piosenki z muzyką i tekstem własnego autorstwa.

Pewnego popołudnia zadzwonił do mnie. Powiedział, że chętnie spotkałby się i obiecywał niecodzienną opowieść. Zapowiedział, że nie wyklucza powierzenia mi pewnej misji do spełnienia, a sprawa ma oczywiście związek z poezją... Następnego dnia spotkaliśmy się w jego romantycznie położonym domku, na skraju lasu, obok jeziora w małej wsi Wojsk. To miejscowość inspirująca wszelakiej maści twórców, artystów łasych na uroki matki natury.

Władysław - nauczyciel cieszący się uznaniem i szacunkiem uczniów zainteresował się poezją pisaną przez uczennicę gimnazjum, w którym uczy. Poprosiła, by zechciał przeczytać i dokonać ewentualnej oceny jej kilkunastu wierszy. Do pomocy postanowił zaangażować mnie jako aktualnie

piszącego. Byłem zainteresowany i ciekawy tej roli, tym bardziej, że jego opinia o wierszach i autorce była wyjątkowo interesująca i intrygująco przychylna.

Nie zwracałem uwagi na umiejętności warsztatowe piszącej, zdając sobie sprawę, że to dopiero start do poetyckiej kariery. Jednak treść i forma wierszy zaskoczyły mnie. Nie jestem recenzentem ani krytykiem literackim, ale bogactwo słów, rodzaj metafor, przemyśleń i wyrażań, jakimi operowała, zrobiły na mnie wrażenie. To były wiersze poetki, a nie piętnastoletniej uczennicy!

Uzgodniliśmy, że zabiorę wiersze ze sobą, by w spokoju raz jeszcze je przewertować. W tzw. międzyczasie Władysław poinformował o tym Marysię. Po paru dniach odwiozłem wiersze Władysławowi, prosząc jednocześnie, by uzyskał zgodę Marysi i jej rodziców na ewentualne umieszczenie ich w bytowskiej prasie. Sam napisałem do niej list - do dziewczyny piszącej wiersze. Chciałem zrobić jej nim niespodziankę, domyślając się jakie wywrze na niej i jej otoczeniu wrażenie.

Wiersze oraz rozmowa z autorką, jej zdjęcie i komentarz redakcyjny ukazały się w przedsięwziętym wydaniu gazety. Podobały się czytelnikom, a Marysia była zachwycona upominkiem. W telefonicznej rozmowie dziękowała mi za

radę i list, a ja po namyśle zaproponowałem uczestnictwo w spotkaniu w bytowskim klubie „Wers”. Podarowałem młodej autorce tomik wierszy „Bytów literacki”, z nadzieją, że nie był to jednorazowy przebłyśk twórcy i obok rysowania, pisanie wierszy będzie pierwszym z pozalekcyjnych zajęć młodej dziewczyny, pochodzącej ze wsi.

Doświadczenie to nauczyło mnie, że warto szukać talentów na miarę Marysi Wielewskiej, bo tak nazywa się młoda, początkująca poetka. To misja, która satysfakcjonuje i zaspakaja ambicje.

Andrzej Szczepanik
Bytów

List do dziewczyny piszącej wiersze...

Czasem zupełnie nieoczekiwanie uda się przeżyć coś zaskakująco przyjemnego. Tak właśnie stało się, kiedy po spotkaniu z bardzo bliskim mi kolegą, zabrałem się za czytanie Twoich wierszy

Nie jestem recenzentem ani krytykiem literackim, więc nie wymagaj, proszę, ode mnie niczego poza bezstronną oceną. Przyznam, że wzruszyła mnie Twoja twórczość - naiwna w swoim szkolnym prymitywizmie, ale wymyślona i bogata, jakby w przeżycia osoby dorosłej, dojrzałej, lecz zawiedzionej. I właśnie to spostrzeżenie nie bardzo mi do Ciebie pasuje. Z opowiadania wiem, że jesteś uczennicą nie wyróżniającą się w gronie koleżanek, nie okazującą szczególnych emocji, bez doświadczeń życiowych. Spodziewałem się raczej tematyki związanej ze środowiskiem szkolnym, wspomnień z wakacji, opisów krajobrazu itp., a znalazłem smutek, powagę i rozczarowanie.

Rozpoczynasz dopiero pisanie. Być może część wysiłku pójdzie na marne, lecz nie możesz z tego powodu ograniczać

pisania. Skrzywdziła byś samą siebie oraz tych, do których Twoje wiersze dotrą, budząc szczery podziw i sprawiając radość. Mnie również często ogarniało zniechęcenie, lecz - na swoje szczęście trafiłem na sprzyjający tworzeniu poezji klimat i obecnie nie wyobrażam sobie dnia bez inspirującego zapachu. Dlatego proszę byś rozejrzała się i szukając w swoim otoczeniu piękna krajobrazu pełnego lasów, jezior, wschodów i zachodów słońca, znalazła i odczuła natchnienie. Niewielu spośród miłośników poezji interesować będą Twoje smutki, zawody miłosne zakończone skokiem w otchłań czy rozstania bez pożegnań - to słowa z Twoich wierszy.

Masz obok siebie wspaniałego sojusznika i nauczyciela, któremu - jak się domyślam - ufasz i cenisz jego porady. To człowiek wypełniony węgą, nie tylko poetycznym uniesieniem, który odnalazł w Tobie iskrę poetki. Dzięki niemu piszę teraz ten list do Ciebie, nie wiedząc nawet jak wyglądasz, ale za to znam Twoje wiersze. Tematyka jest sprawą piszącego i nie mogę wnosić żadnych zastrzeżeń - poza tymi o których pisałem. (...) Masz stosunkowo bogaty zasób słów i raczej dobrze nimi operujesz, ale to też sprawa czasu. Znalazłem sporo metafor, np. „bezdźwięczny szept”, „czerwień dźwięku”, „kawałki światła”, nie powstydziliby się ich doświadczony poeta. Brawo! (...) Jeśli nie znudzi Cię pisanie, spróbuję zaprosić Ciebie i Twojego nauczyciela na poetyckie spotkanie do Klubu Literackiego w Słupsku, byś mogła zaprezentować swoją twórczość. W prezencie przesyłam tomik wierszy poetów bytowskich, więc będziesz mogła porównać ich poezję, oceniając przy okazji swoją. Jeśli napiszesz coś nowego, chętnie poczytam.

Andrzej Szczepanik
Bytów

Maria Wielewska, Wojsk

SZCZĘŚCIE

kiedy życie się przewraca
podejdź i otręp je z kurzu
bo nigdy nie wiesz co się stanie
może akurat będziesz miał szczęście
dostaniesz garść jako zapłatę

zostanie z tobą jakby ku pamięci
że pomogłeś mi wstać
i nie przeszedłeś obok
całkowicie obojętnie.

ŻYCIE OD KOŃCA

ktoś wyrwał kartki z księgi mojego życia
spadają beztadnie jak zwiędłe liście
patrzę w niebo i nie widzę słońca
wiem że to nie sen i już nie zawrócę
nie zaczynamy życia od końca
więc zostań bym nie musiała
znów Cię pożegnać

CZEKANIE

znowu zerkamym w otchłań
chcemy skoczyć lecz coś nas trzyma
patrzy nam w oczy...

po co się oszukiwać
nadziei już nie ma od dawna
czekamy tylko na sygnał

DŹWIĘK

niczym bezdźwięczny szept
Twój głos do mnie przemawia...
zamknij usta
i nie otwieraj dopóki dźwięk wyrazu
nie zmieni uszu dla niego otwartych

USKRZYDLENIE

jest w nas coś takiego
co nas uskrzydla
w szczęściu i nadziei trzyma
nie zadaje pytań
lecz szuka odpowiedzi
więc zamknij oczy

i nakreśl ręką znak
a wtedy uwierzę
że nie potrzebujemy
skrzydeł by odlecieć...

KOLORY

czerwień dźwięku
błękit milczenia
zielen nadziei
i czerni zwątpienia
ciemna noc
blasku mniej
jasny cień barwy Twojej

nie zostawię Cię w mroku...

KU SOBIE

idziemy ku sobie po kawałkach światła
rozproszonych w beztadny dźwięk
toniemy w deszczu słów
rozrzuconych po ziemi
jak garść onieśmielających westchnień
zmienionych w krzyk

„Syberiada Polska” - powieść i film



Książka Zbigniewa Domino pt. „Syberiada polska” jest wyjątkowa, stanowi niezwykle wzruszającą historię o ludzkiej niedoli, w walce o przetrwanie i o patriotyzmie. Jest pierwszą częścią trylogii powieściowej o żyjących na kresach II Rzeczypospolitej ludziach, głównie Polakach, choć nie tylko, wywiezionych po 17 września 1939 roku na „nieludzką ziemię”

Mija już 76. rocznica wielkiej tragedii polskiej ludności zamieszkującej na kresach wschodnich Rzeczypospolitej. Na początku lutego 1940 roku władze sowieckie przeprowadziły pierwszą z masowych deportacji Polaków. Na Syberię tylko w pierwszym dniu zsyłki wywieziono ponad 300 tysięcy ludzi. Wielu nie dojechało na miejsce, wielu zginęło w łagrach.

Według danych NKWD do północnych obwodów Rosji i na zachodnią Syberię dotarło na początku około 140 tys. ludzi. Decyzję o deportacji wydała Rada Komisarzy Ludowych 5. grudnia 1939 roku. Przez następne dwa miesiące trwały przygotowania do jej przeprowadzenia, w czasie których sporządzano listy i prowadzono „rozeznanie terenu”. Wywózka objęła chłopów, mieszkańców małych miasteczek, rodziny osadników wojskowych oraz pracowników służby leśnej. Jej przebieg nadzorował osobiście Wsiewołod Mierkułow - zastępca szefa NKWD Ławrientija Berii.

Kolejne deportacje obywateli polskich przeprowadzono w kwietniu i czerwcu 1940 roku. Ostatnią rozpoczęto w przededniu wojny niemiecko-sowieckiej, pod koniec maja 1941 roku. W sumie na podstawie NKWD w czterech deportacjach zesłano około 330 - 340 tys. osób. Ich celem była eksterminacja elit oraz ogółu świadomej narodowo polskiej ludności. Miały one rozbić społeczną strukturę, dostarczając jednocześnie totalitarnemu sowieckiemu imperium siłę roboczą.

„Człowieczy los nie jest bajką ani snem” - to fragment piosenki Anny German, która osobiście też doznała krzywd od sowieckiego systemu. Słowa piosenki znakomicie obrazują przejścia ludzi, o których powstała książka Zbigniewa Domino pt. „Syberiada polska”. Jest ona wyjątkowa i stanowi niezwykle wzruszającą historię o ludzkiej niedoli, w walce o przetrwanie i o patriotyzmie. Jest pierwszą częścią trylogii powieściowej o żyjących na kresach II Rzeczypospolitej ludziach, głównie Polakach, choć nie tylko, wywiezionych po 17. września 1939 roku na „nieludzką ziemię”.

Autor opowiedział ich losy z dużym realizmem i wyczuciem psychologicznym, na co z pewnością wpłynął fakt, że inspiracją, która pomogła przybrać realny kształt opowieści, były osobiste przeżycia Zbigniewa Domino. Jako młody chłopak został wraz z najbliższą rodziną

zesłany na Sybir. Krytycy podają również, że samemu autorowi tej książki nie przeszkodziło w powojennych latach - w czasach stalinowskich, robić karierę w Naczelnej Prokuraturze Wojskowej, co - zdaniem tej części krytyki - rzuca pewien cień na patriotyczną wymowę jego książek napisanych po upadku komunizmu. Spisane jednak emocje są tak prawdziwe, że niezwykle trudno być obojętnym na treść tej książki. Można się domyślać, że dzieje się tak z powodu osobistych przeżyć autora, choć on otwarcie raczej o tym nie mówi. Tematem powieści jest dość rzadko poruszany obraz wywózki ludności polskiej, z terenów wschodniej Ukrainy na Sybir, w czasie II wojny światowej. Jest to wzruszająca, pięknym językiem napisana książka.

Jej treść to zarazem fabuła filmu o historii ludności zamieszkującej małą wioskę na Podolu. To opowieść o mieszkańcach Czerwonego Jara, którzy 10. lutego 1940 roku zostali wywiezieni w głąb Rosji.

W wiosce tej żyła zgodnie zarówno ludność polska, jak i ukraińska. We wsi, w której mieszka bohater Jana Doliny rozpoczyna się komunistyczna agitacja. Mieszkańcy są jednak na nią najwyraźniej zbyt odporni, w związku z czym już w lutym 1940 roku Sowietci postanawiają wywieźć ich w bydłych wagonach na Syberię. Dramatyczne jest pożegnanie mieszkańców z ukochaną ziemią, uprawianą przez lata. Deportacja odbyła się w straszliwych warunkach, które dla wielu były wyrokiem śmierci. Mróz dochodził nawet do minus 40 stopni Celsjusza. Na spakowanie się wywożonym dawano kilkanaście minut, a bywało i tak, że nie pozwalano zabrać ze sobą niczego.

Deportowanych przewożono w wagonach towarowych z zakratowanymi oknami, do których ładowano po 50 i więcej osób. Podróż na miejsce zsyłki trwała niekiedy kilka tygodni. Wiele jest opisów warunków panujących w czasie transportu. Były one przerażające, ludzie umierali z zimna, z głodu i wyczerpania. Po dotarciu na miejsce zesłańców czekała niewolnicza praca i nędza. Na Sybirze przeżyli heroiczną walkę, głównie z głodem i chorobami. Kresowa ludność była odtąd skazana na

ZBIGNIEW DOMINO

Syberiada
polska



dotarciu na miejsce zesłańców czekała niewolnicza praca i nędza. Na Sybirze przeżyli heroiczną walkę, głównie z głodem i chorobami. Kresowa ludność była odtąd skazana na

wieloletnią tułaczkę. Jedyne, co było ich pragnieniem, to za wszelką cenę znów zobaczyć swój kraj.

Kolejne przejścia bohaterów zmuszają czytelników do postawienia sobie pytania o sens oraz znaczenie dzisiejszego patriotyzmu. Patrzymy często na przeszłość z dystansem. Jednak czytając „Syberiadę polską”, nie da się chłodno interpretować faktów. Tu poznajemy nie tylko znakomicie przedstawione tło historyczne. Ukazana jest ludzka tragedia i ukazani są konkretni ludzie, którzy muszą walczyć o swój codzienny byt. To daje inną perspektywę, wbrew pozorom może bardziej bolesną, niż przelana krew. Najgorzej jest przecież czekać na zmianę losu, nie mogąc zrobić nic, aby polepszyć swoją dolę.



„Syberiada Polska” przedstawia niezwykle psychologiczne wątki - uczuciowy o dobroci ludzkiej i obrazy przesycone sadyzmem oraz okrucieństwem. Pokazany jest wiek dojrzewania młodego Stasia Doliny, jego formowanie jako Polaka i mężczyzny. Ukazane są wyjątkowe obrazki obyczajowe, przesycone małymi sukcesami i porażkami zwykłych ludzi. Tak wyglądał po prostu człowieczy los wielu Sybiraków. Książka jest napisana językiem prostym, plastycznie oddającym klimat tamtego okresu. Autorowi bardzo dobrze udało się oddać zarówno mentalność wysiedlonych Polaków, Ukraińców, mieszkańców Syberii i NKWDzistów.

„Syberiada polska” to również polski film fabularny z 2013 roku, w reżyserii Janusza Zaorskiego. Ten historyczny dramat stanowi poważne przedsięwzięcie aktorskie. Zdjęcia do filmu trwały od stycznia 2010 do lipca 2011 roku. Projekcja trwa ponad dwie godziny. Obraz był kręcony w różnych miejscowościach w Polsce, w okolicach Nowego Targu oraz w Krasnojarsku. Finansowo film wsparł Polski Instytut Sztuki Filmowej, a zapowiadana wielokrotnie premiera odbyła się 22. lutego 2013 roku. Scenariusz autorstwa Michała Komara i Macieja Dutkiewicza nie zawsze ściśle trzyma się literackiego pierwowzoru. Film mimo że opowiada o losach ludności zesłanej w latach 40. XX wieku na Syberię, nie jest jednak opowieścią prowadzoną z perspektywy młodego Staszka Doliny, który trafił do obozu z całą rodziną. Fabuła podąża raczej za wizją Zaorskiego, wedle której trudno w filmie wskazać głównego bohatera. Jest nim bowiem cała społeczność wysiedleńców, zróżnicowana pod względem biografii, charakterów i narodowości. Ich powikłane, nierzadko dramatyczne i pełne trudnych wyborów moralnych losy ukazano na tle zdumiewającej

pięknością, surowej syberyjskiej przyrody, stanowiącej wstrząsający kontrast wobec cierpienia ludzi, będących - w pewnym sensie - jej więźniami, a często i ofiarami.

Inną zaletą dzieła Janusza Zaorskiego jest pochwała wierności nakazom sumienia, które często nic sobie nie robi z podziałów etnicznych i politycznych, każąc narażać bezpieczeństwo, a nawet życie w imię miłości, czy choćby zwykłego współczucia dla człowieka z przeciwnej strony ideologicznej



lub religijnej barykady. Film jest w znakomitej, międzynarodowej obsadzie aktorskiej, szczególnie opinie zebrała Sonia Bohosiewicz występująca w nim w roli matki trojga dzieci, która chcąc zapewnić im przetrwanie, nie waha się zostać kochanką bezwzględnego zastępcy komendanta obozu pracy. Zaorski prezentuje widzom całe spektrum „typowych” aspektów życia polskiego zesłańca: choroby, wycieńczenie, śmierć, przemoc, wrogość, ale i miłość, przyjaźń, nieoczekiwane gesty pomocy i zrozumienia.

Los, jakiego doświadczyło setki tysięcy polskich obywateli możemy zgłębiać na przykładzie tego, co spotkało grupę głównych bohaterów filmu. Zaliczają się do nich Jan Dolina, były żołnierz, potem zwykły gospodarz, jego syn Staszek, przyjaciółka Staszka Cynia i samotna matka trojga dzieci, Irena. Narracja filmu została poprowadzona jakby pod dyktando samych wydarzeń związanych z życiem polskich wysiedleńców. Poruszające są sceny wspólnych kąpieli, wspólnego spania w wieloosobowych salach, sceny z ludźmi, którzy cierpią na brak miejsca i czasu, by ukoić swój ból i zastanowić się nad jakąkolwiek wizją przyszłości. Czas liczony na zesłaniu, to codzienny marsz do tajgi, niewolnicza praca, zdobywanie pożywienia i oczekiwanie na zmianę sytuacji. Tak wygląda tamta rzeczywistość i prawda przekazywana w filmie.

Krytycy narzekają na niestosowny wybór oprawy muzycznej, która czyni z całości rzecz kaleką, pomniejszającą ogólną wartość obrazu. Dialogi i gra aktorska momentami są pompacyjne, trącą sztucznością. Czołowe postacie były świadome tego, że nie są ludźmi z krwi i kości, a bohaterami narodowej epopei. Widza nurtuje pytanie - czy Jan Dolina, gospodarz dotychczas na kresowej wsi, był kapral Wojska Polskiego, wywieziony zimą 1940 roku wraz z rodziną na Syberię przetrwa w skrajnie niesprzyjających warunkach i wróci do ojczyzny? Ogromna ilość płonnych nadziei mogłaby zniszczyć niejednego, ale nie deportowanych Polaków. Odpowiedzią na to pytanie są Szajnowie i Dolinowie, ludzie, których już nie ma, gotowi zrobić wszystko dla swojej ojczyzny.

Janusz Zaorski w jednym z wywiadów mówił: „Moim marzeniem i wielkim wyzwaniem była realizacja filmu o losach Polaków deportowanych przez radzieckie NKWD w roku 1940 na Syberię.” Syberia w jego filmie jest pokazana bardzo sugestywnie, a szczególnie tajga i nieprzeniknione losy jej zesłańców. W obozie położonym na odludziu wysiedleńcy skazani są na katorżniczą pracę. Pokazana jest syberyjska zima, kiedy temperatura spada kilkadziesiąt stopni poniżej zera. Wtedy jest szczególnie trudno. A do paraliżującego zimna dochodzi głód. Jakby tego było mało, komendantem obozu jest sadystyczny kapitan NKWD Sawin, pałający nienawiścią do Polaków, gdyż w czasie wojny w 1920 roku został sierotą. Teraz, będąc panem i władcą kilkudziesięciu obywateli II Rzeczypospolitej, może się mścić do woli. Niestety, za ulubiony cel rozlicznych złośliwości i psychicznych tortur obiera sobie Jana Dolinę, który niegdyś służył w polskim wojsku. Perfidia Sawina osiąga apogeum w chwili, gdy wysyła Jana na kilkutygodniowy spływ drewna, podczas gdy jego żona ciężko choruje na tyfus i umiera.

W tamtej rzeczywistości czymś wyjątkowym, mającym zbawienny wpływ dla tysięcy Polaków, są postanowienia paktu Sikorski - Majski. Ogłoszona na jego podstawie powszechna amnestia daje nadzieję Polakom na powrót do ojczyzny. Pojawiła się wzmianka o tworzeniu wojska polskiego przez generała Andersa, a potem Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki. Niestety na filmie zesłańcy z Czerwonego Jaru sami muszą walczyć o to, aby wydostać się z Rosji i wrócić do Polski.

Podsumowując można przyjąć, że liczba wszystkich ofiar wśród obywateli polskich, którzy w latach 1939 - 1941 znaleźli się pod sowiecką okupacją jest do dziś nie w pełni znana. Profesor A. Paczkowski odnosząc się do tej kwestii pisał: „Uważa się, że w ciągu niespełna dwóch lat władzy sowieckiej na ziemiach zabranych Polsce represjonowano w różnych formach - od rozstrzelania, poprzez więzienia, obozy i zsyłki, po pracę w pól przymusową - ponad milion osób, a więc co dziesiątego obywatela Rzeczypospolitej, który mieszkał lub znalazł się na tym terytorium. Nie mniej niż 30 tysięcy osób zostało rozstrzelanych, a śmiertelność wśród łagierników i deportowanych szacuje się na 8-10 procent, czyli zmarło zapewne 90-100 tysięcy osób.” (Dane z „Czarnej księgi komunizmu.”).

Masową deportację Polaków, ich życie jako przesiedleńców, a także wszelkie rodzaje łagrów i gułagów można poznać też z licznej innej jeszcze literatury, jak choćby z najpoczytniejszych książek Czapskiego, Sołżenicyna czy Anne Applebaum. „Syberiadę polską” Zbigniewa Domino, na której podstawie powstał też film o tym samym tytule Janusza Zaorskiego można zaliczyć do książek w moim odczuciu tej miary co „Inny Świat” Gustawa Herlinga Grudzińskiego, „Archipelag Gułag” Sołżenicyna, czy „Tak daleko jak nogi poniosą” Josefa Martina Bauera.

Włodzimierz Lipczyński, Słupsk

Zbigniew Domino: „Syberiada Polska”, Wydawnictwo StudioEMKA, Warszawa 2001.

Halszka Olsińska i jej urokliwe... małostki



- *Poezja! Czym jest poezja? A czym piękno? Miłość? Pewien szczególny rodzaj napięcia między słowami niosącymi obrazy stanu ducha - oto czym jest poezja*

Tak się złożyło, że poetka, której dotyczy ten recenzencki szkic, znana mi jest od wielu, bardzo wielu (!) lat. Stąd jako żywo pamiętam całą jej drogę ku „wspólnocie ludzi pióra”. Debiut? W roku 1994 na łamach „Twórczości”, z trochę późniejszą konotacją autora rubryki „Czytane w maszynopisie” Henryka Berezę: „Wiersze Olsińskiej, jak 4 szlachetne kamienie”... Wkrótce potem, w 1998, inicjacyjny zbiór poezji pt. „Czym jest ten kamyk” (Othdruk, Białystok). I, z reguły co rok - dwa, kolejne zbiorki: „Jednorodne” (Boxpol, Słupsk), „Jego Omnipotencja”, „Mniejsza całość”, „W stronę Monsalwatu”, „Małostki”, „Wiersze zebrane i trochę nowych” (wszystko w Millennium, Koszalin) oraz „Bliskie spotkania”, „Małostki” (II, wyd. Forma, Szczecin-Bezrzecze). Uzbierało się? I to bez wspomniania wcale pokaźnych zestawów autorskich w pracach zbiorowych, casus francuskie „Les Cahiers Blues” czy „Liberté/Politique. La Nouvelle Revue d’Idée Chrétienne”.

Pisywałem o przywołanych książkach, z wyjątkiem ostatniej, circa dziesięć razy - zwłaszcza w „Ziemi Słupskiej” i w koszalińskim periodyku społeczno-kulturalnym „Miesięcznik”. Ani chybi: pora dziś na zaprezentowanie pachnących drukarską farbą nowych „Małostek” w kontekście z credo ich twórczyni. - Moje credo - słyszę od niej - jest kropka w kropkę takie, jak w rozmowie z Tobą na łamach „Tygodnika Koszalińskiego/Słupskiego” AD 1998 i - fragmentami - we wstępie autorki do „Wierszy zebranych...” Twoja publikacja, przeze mnie tylko, z oczywistych względów, w znacznej mierze skrócona. Za przyzwoleniem tedy - cyt.: „Pytasz o moją dewizę życiowo-literacką. Nieproste. Notuj więc w całości lub wybiórczo. Chyba urodziłam się z genem samotnictwa. Rozmowy istotne prowadzę sama ze sobą lub innym poetą - czytając. Wiersze





w moim przypadku to konsekwencja takiego stanu rzeczy. Poezja! Czym jest poezja? A czym piękno? Miłość? Pewien szczególnie rodzaj napięcia między słowami niosącymi obrazy stanu ducha - oto czym jest poezja.

Oczywiście, to pojęcie w istocie niedefiniowalne.

Pisząc wiersze, powołuję do istnienia jakiś świat, do-
wodzę potencji słowa, jego żywotności, siły. Tak! „A słowo
ciałem się stało”... To właśnie poezja. Słowo trzyma mnie w
pewnych ryzach - skojarzeniach, ale jednocześnie ja przydaję
mu potencji przez inne słowa. To tak, jak w miłości. Wza-
jemne niesienie się, wznoszenie, osiągnięcie czegoś niemoż-
liwego do przewidzenia we wciąż zmieniającej się sytuacji.
Pisanie poezji to poddanie się miłosnemu rytmowi w akcie
życia; kocham życie, więc pytam, czym ono jest. Mam świa-
domość jego ulotności, więc przenoszę je do sfery metafizyki.
Dominująca jest moja kruchość, bezsilność, więc bronię się,
dystansując intelektualnie.

Liryzm poetycki znaczy dziś co innego niż przed laty.
Nie dlatego, że tak nakazują współczesne teorie sztuki po-
ezjowania. Dlatego, że dziś ja - poetka, niby czując tak samo,
czuję inaczej. Patrzę na siebie poprzez doświadczenie wszyst-
kich literackich pokoleń.

Wyrażam i z boku patrzę na siebie wyrażającą. To
nieuniknione. Ale nie jest to kwestia chłodu, w żadnym

razie. Raczej nieuchronnej linearności zdarzeń. Piszę po!
Po wysokim C przeżycia wcześniej czy później następuje
zdystansowanie.

A moje duchowe pokrewieństwa? Książka, którą czytam
wielokrotnie, to «Samotnik» Ionesco. Stale pamiętam słowa
Becketta: «Która godzina? Ta sama co zawsze. Zadaję sobie
odwieczne pytania. Ale formułuję je po swojemu».

Wystarczy, dla odpowiedzi na pytanie o „kod” Halsz-
kowych przesłań poetyckich. I w dawnych („Czym jest ten
kamyk” sprzed osiemnastu lat), i w nieco świeższych („Ma-
łostki”, „W stronę Monsalwatu” - 2006), ale i w najnowszych
(„Małostki” z lutego br.) „zapisach” Olsińskiej.

Qo ad rem. Wspomniane przy końcu wiersze - druga
edycja „Małostek” z 2006 roku? Pozory! Tamta książeczka
(nomen omen) zawierała 98, trzy razy mniej przesłań autorki
do czytelników. Była - nie tylko z tego względu, nb. - dość
skromną w sumie pozycją wydawniczą. A Szczecin... Tuż po
„Bliskich spotkaniach” znowu lokuje Halszkę Olsińską w „złó-
tej” serii 15 (piętnastce), z takimi znakomitościami jak: Hen-
ryk Bereza, Artur Daniel Liskowacki, Jan Drzeżdżon (Słupsk
- Gdańsk), Lech M. Jakób (Kołobrzeg) i inni. We frapującej
wprost szacie poligraficznej (barwna, kredowa okładka w aż
czterech „odstłonach”, dziesięć przepięknych doprawdy gra-
fik i - reprodukcja super obrazu Krzysztofa Samborskiego).
Ba, nawet ze zwięzłym CV, drobiazgowym rejestrem dokonań
twórczych i wspinałym foto autorki, z fragmentem wypowie-
dzi H. Berezy o dziewiętej książce Hali.

Przywołania krytyka literackiego tej klasy co Bereza („Li-
sty do poetów: do Halszki Olsińskiej”, w: „eleWator” 3/2013),
nie mogę sobie darować. Notuję więc: „Małostki” czytam ze
szczególnymi emocjami, bo one - przez formalne podobień-
stwo do moich „Miar i względów” - pokazują nieautentycz-
ność artystyczną mojego wierszowania. Ja okazjonalnie ujaw-
niam swoje marzenie o gnomicznych formach poetyckiego
słowa. Ty całe swoje doświadczenie poetyckie demonstrujesz
właśnie w gnomicznych formach poetyckiej organizacji sło-
wa. Inaczej mówiąc, czytam „Małostki” z podziwem i niemal
z zazdrością, gdybym do czegoś takiego był zdolny.

Ślady „małostek” Halszki widać już w jej pierwszej publi-
kacji książkowej („Czym jest ten kamyk”). Oto - na potwier-
dzenie - jeszcze jeden zapis Maestro Henryka Berezy w „Twór-
czości”, 2/2000: „Najbardziej podoba mi się wiersz bez tytułu
(z incipitem jak); z dwudziestu słów (razem z przymkami)
buduje się metaforę siebie, swojego istnienia”. Ot co:

*jak
ostróżka
z gobelinem
został mi w palcach
urwany wątek
snuje się
poza
wszystkim
szara nitka
wysnuta z własnej wyobraźni*

Krótko? Przed dziesięciu laty jawiło się prawie każde
z „małostkowych zamyśleń” w trzech-czterech minifrazach
słownych. Na przykład w „tekście odkrytym dla siebie z dużą
radością” przez Lilianę Zubińską (vide „Fraza” 3/2007):

*największy kosmiczny porządek
ład serca*

Warte zacytowania zdają się też inne passusy recenzji
L. Zduńskiej.

„Jeżeli milczenie jest złotem, a mowa srebrem, to precyzyjnie dobrane słówka będą czymś pomiędzy. Tom „Małostki” H. Olsińskiej to lektura uroczą i - zaskakującą. Tytuł jest przewrotny, a treść skondensowana. Wydawać się może, że to nie więcej niż pomysł na wiersz albo wyrwane z kontekstu słowa, które nie niosą żadnej treści. Ledwie myśl jak błysk. A jednak z kilku słów można wyczytać więcej niż z niejednej czytanej beznamiętnie książki... Wyróżnikiem „M” jest lekkość i konkretność zawartych w nim utworów; np.

wody
przychylają ludziom
nieba

Autorka łamie stereotyp kobiecego gadulstwa i skłania czytelnika, by włączył się do zabawy podglądania świata; jak w:

widziałam szpaka
robił z siebie głośzaka
słyszałam szpaka
był artystą

Poetka ma wyostrzony zmysł obserwacji i dotyczy to nie tylko tego, co zewnętrzne.

otwieram oczy
patrzę
zamykam oczy
widzę

(W ten sposób) czytelnik staje się partnerem dialogu. A każde niedopowiedzenie tworzy przestrzeń na życie i refleksje, które nie są narzucone.

...Bawić się słowami jak autorka „Małostek” wcale nie jest łatwo, potrzeba bowiem do tego prostoty i świeżości spojrzenia. Często zaś piszący poezję są osobami śmiertelnie poważnymi...

„Małostki” polecam zwłaszcza zmęczonym wyszukanyymi metaforami. Znajdziemy tam słowa, które nie chcą być niczym więcej ponad to, czym są.

A przecież o to wszystkim nam chodzi!

Wypadałoby na koniec przybliżyć zaprezentowaną poetkę bardziej, ad oculus. Stałbym wszelako przed piekielnie kłopotliwym zadaniem. Dlaczego? Zostałaś Halszko wolny wybór opublikowanych przez Ciebie w „Małostkach” wierszy lub - jak kto woli - wierszyków (aż 279; sic!). Chciałbym, z drugiej strony, uniknąć sugestii odnotowanych wyżej literatów i krytyków literackich. Stąd moja prośba do bohaterki niniejszego szkicu: daruj ewidentną „małostkowość” przy doborze wypisów z ostatniej Twojej książki.



Notka biograficzna o autorce. Nie tylko poetka, również felietonistka, recenzentka, publicystka. Rocznik - nazwijmy to tak - powojenny. „Rodem” z Rakowa (zwanego Sarmackimi Atenami) na Kielecczyźnie. Dalej Lublin. Kraków. Wrocław, Koszalin. Magister filologii polskiej i bibliotekoznawstwa. W takim charakterze, notabene, pracowała do niedawna przez prawie dwadzieścia pięć lat w Słupsku (od poprzedniej dekady znów mieszka z mężem, jak ona „człowiekiem pióra” i to - dodajmy - niezwykle znaczącym, w Koszalinie). Jej wiersze ogłaszały m.in. „Sycyna”, „Gazeta Malarzy i Poetów”, „Wiadomości Kulturalne”, „Akant”, „Przegląd Powszechny”, „Pogranicza”, „Nowe Książki”, „Fraza”, paryska „Kultura” i - wielokrotnie - „Twórczość”, „Autograf”. O reszcie, wielkiej reszcie napomykałem już przy innych okazjach.

Jerzy R. Lissowski, Słupsk

Halszka Olsińska: „Małostki”, wyd. Forma, Szczecin 2016.

Halszka Olsińska, Koszalin

Z rozdziału I (Zamyślenia)

dobrze mniemanie o sobie
świadectwem sprawności
systemu immunologicznego

jaskółczym gnani niepokojem
jeżymy się sowiejemy zasępiamy i sępiamy
indyczymy świniemy szarogęsimy
byczymy
baraniejąc papugujemy małpujemy i
się lampartujemy
odżegnując od siebie samego

słowo
każde niedomykalne

krzyczeć
najlepiej szeptem

spuścić z tonu
niższego
najwyższy stopień trudności

potajemne klonowanie arcydzieł
odwieczna praktyka

Rozdział II (Wahadło czasu)

nawet najkrótszy
przydługi
czas próby

jutro do jutra
i skarbonka wypełniona
przeszłością

sen
czas się rozbiegł
we wszystkich kierunkach

każde zejście
poprzedzone wejściem
czasem żal że odwrotność niemożliwa

wyschło koryto rzeki
czas nie przestał płynąć

nigdy
zamiennik do zawsze
ale nie odwrotnie

Rozdział III (Obrazki)

dym
skorzystał z jedynej
drogi ucieczki

wteiwewte
drzwi
start i meta w jednym

idzie na jesień
wszystkie ptaki we mnie
gotowe odlecieć

wrże w ulu nocy
miriady istnień
śpieszą zdążyć zanim
zapadnie dzień

wstąpił do piekieł
niezgody
na nieodwołalność

księżyc przepływa wpływ
niebieski staw

wiersze najnowsze

Zenon Marian Lason, Słupsk

WIOSENNY TANIEC

Wczesna wiosna
szła przez łąki z wiatrem
trzymając się mocno
za ręce
wiatr niósł worek
z nasionami kwiatów
a wiosna garściami
rzuciła je na ziemię
pąki na drzewach
kłaniały się nisko strzelając na wiat
zakochanej parze
w starym kościółku - na wzgórzu
czekała na nich Wielkanoc
z koszyczkiem na ręku
- pełnym niespodzianek
na głos dzwonów - deszcz przyleciał
i poświęcił dary
potem zabłysnęło słońce
- zatańczyła wiosna z wiatrem
do stołu Wielkanoc zaprosiła
parę nowożeńców i ptasią orkiestrę
- wokół posypały się kwiaty...

Emilia Zimnicka, Izbyca

ZIEMIA KASZUBSKA

Boże Najświętszy, który władasz
Bezkresm wszechświata
Mądrze i tak wspaniale
Popatrz łaskawy z góry
Na swe Kaszuby
Popatrz z błękitnej dali
Bo Kaszuby to piękna kraina
Popatrz w niebo oczami jezior
Wstęgami pól i lasów
Świetlistą kulą słońca
Ciebie zaś Wielki Boże
Kaszubski lud chwali
Modlitwą szczerą
Z serca płynącą
Wielkie Trójmiasto, Słupsk, Lębork
Kościerzyna
Wioski ubrane w stubarune ogrody
Pokłon Ci dają w pokorze
Modlitwą najszczerzą
Na świecie

PRZEDWIOŚNIE

W przedwiosennej samotności
Wpatrzona w szary tłum trzcin
Którymi zimny wiatr pomiatą
W czas księżycowej poświaty

Pod olchą skryta się ruda lisica
Wypatrując wioskowej kury
By nakarmić małe
Krzykliwe kaczki pod mokrym niebem
Wśród odgłosów wiatru wiosnę wróżą
Stado żurawi buszuje w polu
Przed niedokończoną podróżą
Na bagna Słowińskiego Parku

Emilia Maraškiewicz, Darłowo

WIEJSKA GOSPODYNIA

na wsi zielonej dom całym jej uniwersum
a rodzina inspiracją i sensem istnienia

uwolniona od kłopotów codzienności
biega boso po kryształowej rosie
potem siada na huśtawce w ogrodzie
i pochyla się nad potęgą Natury

w jasną noc lubi patrzeć na Wielki Wóz
słuchać kumkania zakochanych żab

I ZNOWU

matka natura wydaje ucztę dla moich
zmysłów
podczas spacerów witam słońca podbiału
piękno ogrodów pobudza rozkwit myśli
i wyobraźni

skowronek przynosi mi codziennie
świeżutkie trele
ale gdy wiatr ograbia korony sosen z
woni żywicy
każde cieplejsze słowo smakuje jak
wytrawne wino

Jan Kulasza, Strzelce Krajeńskie

Najbiedniejszym człowiekiem
jest ten który umiera
w pełnej świadomości
swoich zmysłów.

Zostają zabrane mu
plany, marzenia i nadzieje.
Wszystko to co osiągnął.
Dorobek jego całego
ziemskiego życia.

Pozostał mu tylko strach
przed spotkaniem z Panem
i to ostatnie tchnienie.

Marian Kwidziński, Białogard

NA CZYJ RACHUNEK SUMIENIA

Zagubieni jak w IPNie
każdy fałsz
zgarbieni od nadmiaru marzeń
przykuci do łóżka
za drogie korale też
Boże nie chowaj mi poduszki
jeszcze przed zaśnięciem
błogosławiony jest każdy dzień
gdy echo starych prawd wciąż żywe
często na bakier przez życie się szło
za rymowaną pensję się żyło
Mówili: myśli złote już dawno
inni rozkradli
pozostały tylko złudzenia
Ziemia wciąż krwią oddycha
na czyj rachunek sumienia
zapisana

Zofia Smalewska, Naćmierz

ZACHÓD SŁOŃCA

brzeg morza promienie słońca
pochłania głębina
kąpią się w bryzach fal moje myśli
- zmęczone natrętne
na piasku rysuję serce wzywam Cię jak
kojot
niebem księżyc już płynie
pusta szalupa chybocze się przy brzegu
nie widzę dokąd biegną Twoje ślady
gdzie biegnie skraj drogi

srebro bryzy przyzywa wspomnienia
zasnuwa twój obraz na piaszczystej
ścieżce
wędrowca zniknął
wiem że nasłuchujesz wtórnego śpiewu
syren
jesteś bliżej niż ja mam do Ciebie
dzień przygasa unet gwiazdy zabłysną

- ja czekam

Gdańsk, 23 lutego 2016 r.

GORSET PRABABKI RÓŻY

Nie wiedział, że to ją boli
gdy jej gorset co rano sznurowała służąca
Czarujący uśmiech i imię Róża
znieczulały bolesny ucisk dodając wdzięku

Gorset dobrego wychowania

Sztuczne fiżbiny wpijały się w białe ciało
Nie udawała Cierpiąca w głębi serca
Przecież podnosił jej wrażliwe piersi

To nie była tortura
on sprawiał cudowne doznania
W nim podobała się Jemu choć tży błyszczwały
w oczach pełnych pragnień

Falbanki kokardki - wszystko to dla Niego

Kochanek te pęta rozluźni
W napływie czystej miłości pozwoli mu na to
Pełna uniesień pomoże opaść pończosze

Czy aż tak Go kochała
Zrób to - szeptała gdy ścisnął jej wątłe ciało
Mocniej - syczała choć nie mogła oddychać
Odpływam - usłyszał gdy był już na szczycie

Na jej dłoniach odbijał się ślad Jego pięści
ostatni znak walki o upadłą miłość

Gdańsk 22 luty 2016

Grzegorz Chwieduk, Kępice

Pięćdziesiąte urodziny minęły bez szaleństwa,
mama tylko odwiedziła swojego starego synka
i podarowała garść ożywczych,
uśmiechniętych słów.

Nie zapomniła o kuszącym sweterku,
który przyda się Markowi na kolejny finał
ogólnopolskiego poetyckiego konkursu.

Torcik w wykonaniu rodzicielski
osłodził dziś pocie życie.

Po godzinie dwudziestej

Marek został w mieszkaniu sam,
schorowana starszuszka musiała uciekać
do siebie,

ale wykonała zadanie należycie.

Literat raczył się dobrym pszenicznym piwkiem
i postanowił powrócić do kochanych lat
przy piosenkach Ireny Jarockiej.

Nie zadzwonił żaden telefon,

nie wyskoczył na fejsie żaden wpis
z kwiatuśkiem

albo zalotnym uśmieszkiem.

Nie dziwota, skoro od dłuższego już czasu
wieloletni singiel nie przykleja się do innych,
nie zaprasza do własnego świata nikogo.

Ale na reakcję ludzi może liczyć.

Wczoraj odebrał kolejny głuchy telefon,
a w skrzynce pocztowej pogniecioną kartkę
z tekstem wymownym

Ty pierdolony bajkopisarzu.

Zygmunt Jan Prusiński, Ustka

DZIESIĄTA NOC MINĘŁA...

Rozmarzyłem trochę o tak po południu
nie tylko o tobie choć jesteś najważniejsza
ale i o wiosnie która idzie małymi krokami
by rozkwitła ta przyrodnicza kraina Ustki.

Muszę być dokładny by nie skaleczyć
twojej delikatnej duszy nie tylko przy różach
rozłóżka która trwa w obiekcie fotografii
jakby cienie stąpały w sosnowych modlitwach.

Wiem że muszę poczekać i gwiazdy liczyć
ostentacyjnie przejść kapryśne pogody
zmieniam kapelusze i płaszcze zmieniam
idąc z nawarstwieniem nut przyszłości.

20.3.2016 - Ustka
Niedziela 05:01

Beata Kosicka, Słupsk

NOC

Otoczyła mnie noc gwiazd ramieniem,
srebrem w oczy zajrzała z tęsknotą,
całowała w ciszy dyskretnie,
tży ogromne, ciężkie jak złoto...

Pogłaskała wiatrem me włosy,
rąk dotknęła szelestem gałęzi,
lecieć chciało w przestworza me serce,
jak głąz ciężkie - serce na uwięzi...

Dusza rwała się w górę, ku gwiazdom,
cienie drzew z mgłami tańczyły,
zapłakana, przesiąknięta jesienią,
pełna pragnień - opadałam z siły...

Walka trwała przez całe godziny,
noc gwiazd roje topiła w wodzie,
pomyślałam, że Ciebie mi trzeba -
nie w marzeniach, ale zawsze, co dzień...

Anna Boguszewska, Słupsk

KRZYŻ SYMBOLEM
CHRZEŚCIJAŃSTWA

Polska, kraj na wskroś katolicki
Krzyż, symbolem chrześcijaństwa
od wieków wszechobecny
otaczany nabożną czcią

przychodząc na świat otrzymujesz imię,
sakrament chrztu świętego
błogosławieństwo znakiem krzyża
kreślone na głowie

odtąd imię nadane na chrzcie
i znak krzyża będą z tobą zawsze
dekalog drogowym w życiu
dom boży, domem modlitwy

kiedy wędrówka życia dobiegnie końca
krzyż odprowadzi cię
do miejsca wiecznego spoczynku
będzie świadectwem twojej wiary

przez wieki,
krzyż towarzyszył chrześcijanom
jako symbol kultu religijnego
dążeń narodowych, walki ze złem

1050 lat temu na polskiej ziemi
został postawiony krzyż -
znak zwycięstwa nad życiem i śmiercią
dał początek wierze chrześcijańskiej

Romana Małecka, Kwakowo

WIOSNA

Stanąć kamieniem nieruchomo
Wśród rozlistnionych drzew
I szemrzącego strumienia.
Tak cicho, aby nie splotać wiatru.
On delikatnie pieści listeczki
Pazurkiem uczonego wiotkich gałązek.
Rozbawione trzepocą radośnie skrzydełkami.
Posłuchać wiosennej pieśni wilgi, kukulki
I tajemniczego szeptu lasu.
Żrenicę zwilżoną łzami strumienia
Nakamić barwami rozpromienionych drzew.
Wzlecieć skowronkiem wysoko,
Zawisnąć pieśnią w błękitach.
Radośnie chwalić cudo świata,
Serca wszystkim napęlić życzliwością,
I nad poziomy przyziemie się wzbic.
Wziąć głęboki wdech
I zachłysnąć się urokiem wiosny.

TAKA CISZA

Taka cisza przy niedzieli,
Nawet szum mknących samochodów
Jakby mniejszy.
Kot kłębuszek na pościeli
Mruczy coś przez sen.
Spokój ciepły i beztraska
A ty zatapiasz się w lekturze.
Zegar tyka -
Nic-nie-mu-sisz
Ale-mo-żesz.
Wyczerpały się
Spóźnione godziny.
Dzisiaj czas jest łaskawy,
Nie pogania.

Jadwiga Michalak, Naćmierz

NIEPOKÓJ CISZY

człowiek myśli
dawniej było inaczej
teraz jasność szarzeje
na całym obliczu świata
złe że spokój jest niepokojem

człowiek myśli
jest dobrze
czereśnia i wiatr spokojny
lecz plamy zła
budzą sprzeciw

człowiek zna
niemoc tworzenia
idealnego świata

Mozolne wspinanie się na górę Thanatos

Najlepsze wiersze Czyża szczerze i uczciwie mówią o jego ludzkiej skomplikowanej tragedii. W wyniku nieszczęśliwego wypadku i skomplikowanej operacji czaszki autor zapadł na afazję, czyli utratę zdolności mówienia, rozumienia mowy, a także agrafie, czyli upośledzenie umiejętności pisania na skutek uszkodzenia odpowiednich ośrodków mózgowych. Stąd Czyż nie ukrywa, że: „Choruję od 30 lat” (w wierszu „Jerzyki na wieży”).



Przyznam, że po kilkukrotnym przeczytaniu tomiku „*Labirynt myśli*” Henryka Czyża, mieszkającego w Bytowie od pięćdziesięciu lat nasunęła mi się łacińska sentencja: „*Sic transit gloria mundi*”, czyli - tak przemija chwała świata, własnego świata, własnego Ja

Na podobną przypadłość po wylewie cierpieli Stanisław Mrozek i Jerzy Dąbrowa-Januszewski (poeta i dziennikarz ze Słupska). Pamiętam, jak w trakcie wspólnej podróży do Warszawy, po długim pobycie w szpitalu i rehabilitacji Jurek prosił, by uczyć go i przypominać słowa, których nie pamiętał. Niestety, po drugim wylewie Jerzy zmarł. Dlatego o rehabilitacji autor wspomina w wierszach „Dziurawy dzień” czy „Czas szpitalny”, cyt.: „Czas ulatuje szybko / Rehabilitację żegnam / I niebo rozsypuje tzy - / ukochanej róży”.

Wiersze Czyża spajają obraz z harmonią i melodią, a cała narracja poetycka ma charakter niestatyczny, lecz wbrew pozorom dynamiczny. Poza tym łączy styl podniosły z potocznym słownictwem, w idylliczne strofy wplata scenki realistyczne:

„Na każdym kroku
widać apteki
Już ich unikam
- drożęją leki”

(„Niecne apteki”).

Niektóre utwory utrzymane są w stylu bądź dostojnym, bądź żartobliwym, utrzymanym niemal w duchu folkloru:

„Wesele, wesele
po weselu smutek
Wlazła baba na piec
Sparzyła półdupek”

(„Kamawałowe weselisko”).

Wszędzie przebija jednak u poety potraktowany głęboko dramatycznie i najważniejszy dla niego problem przemijania czasu. Bo to jest także problem losu poety - poety, którego głos otoczenie nie dosłyszało. Oczywiście Czyż świetnie dostrzega i doskonale zdaje sobie z tego sprawę, jak słaby i łatwy do zerwania jest związek jego poezji z nową rzeczywistością po wypadku. Poeta zdaje sobie sprawę z tego, że nie ma gdzie się skryć przed władzą - czasem i w przyszłość patrzy jakby właściwie bez nadziei. Mam wrażenie, że do pewnego czasu było to tylko przeczucie, później ciężkie warunki życia wycisnęły na jego poezji piętno prawdziwego tragizmu,

co w ostatnich wierszach znalazło wyraz w nasileniu się pierwiastka lirycznego. Stąd nieprzypadkowo w pierwszym, zaczynającym tomik wierszu pt. „Rok z bukietem” podmiot liryczny zauważa: „I będę cierpieć wspaniałomyślnie / Przed śmiercią przytulę pościel - / kwiatami ---?” „Zaś w ostatnim pt. „Chcę pochówku” prosi, by zamiast trumny pochowano go w urnie „na clikwym cmentarzu”.

Dlatego też sporo wierszy autor poświęca zmarłym przyjaciółom: Eli (Frankiewicz) Pacyno (w. „Pasja”), Kazikowi Maksymowi (w. „Przeszłość”), Oli Hinc-Górze (w. „Grudniowa śnieżynka”) czy Bronisławie Lewendy (w. „Ostatnia wioska”).

Są także teksty poświęcone naszym wybitnym poetom: Janowi Twardowskiemu (w. „Współcześni biografowie”), Wiesławie Szymborskiej (w. „W Lubomierzu”), gdzie nawiązuje do limeryku noblistki o Wiesławie Czyżu (a jaka jest konotacja rodzinna - autor nie wyjaśnia), Konstantemu Ildefonsovi Gałczyńskiemu (w. „Ildefons”), czy aktorom (w. „Aktor z Bytowa”).



Ale nawet i w tym okresie ciężkiej choroby dochodzi nieraz u poety do głosu właściwy mu zachwyt nad światem i pojawiają się erupcje liryczne, wzbudzone ściślej teraz obcowaniem z przyrodą. A więc hymny na cześć ptaków, kwiatów, obłoków czy wiatru. Upaja się nawet budzeniem wiosny przywołując własne dziecięce przeżycia (np. w. „Pustelnik wiosny”).

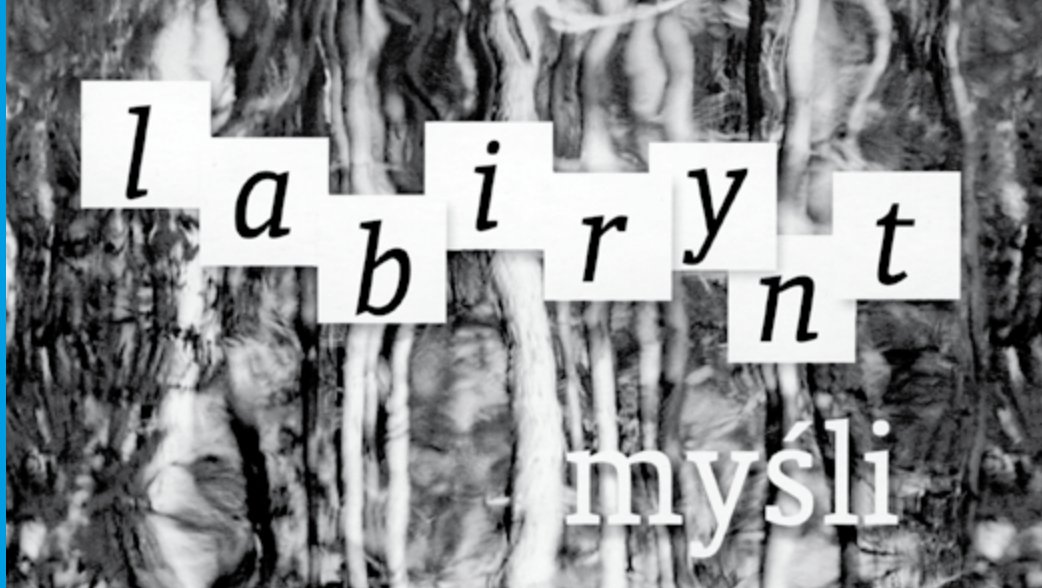
Na koniec narzuca się porównanie do tytułu filmu „Czyż nie dobija się koni”. Czyż nie dobija koni w tej mozolnej wspinaczce na górę Thanatos? Mając świadomość kresu drogi potrafi żartować: „cicho konie nie rzyjcie” (w. „Drwiący okólnik”).

Mam nadzieję, że bytowski poeta, autor ponad dziesięć tomików poezji napisze ich jeszcze sporo. I tego mu serdecznie życzę.

Mirosław Kościeński, Słupsk

Henryk Czyż: „*Labirynt myśli*”, „*Kurier Bytowski*”, Bytów 2015.

HENRYK CZYŻ - WIERSZE



ILDEFONS

księgarni „Conrad”

Gdy łkam książkę
„Niebezpieczny poeta
Konstanty Gałczyński”
to płaczę rzewnie
Jemu pisarka zadała ból:
- on pijus był
pośród krakowskich knajp
nieustannie flirtował z kobietkami -

A teraz
przy leśniczówce Pranie
też kwili mżawka
nad jego -
zbitym życiem

I słysząc odgłos
userdecznego dziecięcia:
Puka w pień
światłolubnej sosny -
Nie wierzy
drobniutkiej mżawce
I wznosi toast
za liryki
Ildefonsa -

Bytów, luty 2014 r.

DWOREK W BARKÓWKU

Loni z Adamem

U najpiękniejszego dziedzińca
ukazuje się Longina
Spaceruje pagórkami
(z nią hasa hebanowy piesek)

Chciałaby chwycić
urocze chochliki
Te duszki
docierają w róże
Cmokają błogość ambrozji
- boży dar

Longina gubi
srebrzysty dzień -

Przytula z sercem
Adama najmiłszego
- wielbią Amora

A pies o blasku
przymnuża oczy
Zerka w obłoki -
potem zasypia...

PRZESZŁOŚĆ

pamięci Kazika Maksyma

Iks lat temu
zwiedziłem złoto
moje
rodzinne strony -

Mówił mi
przewodnik Kazik:
W Gródku Starym
ujrzałeś świat
dzięki akuszerce Miętusce

Ale gniazdko znikło już -
zmiażdżył
ogień wojny
są zgłiszczą wśród traw

Tylko przy dróżce stoi
(jak posąg)
stroskany lilak ---

We łzach
zdejmuję beret
- Och, Chryste
uroń z ócz
uwikłany ból --- ---

I był Kazimierz
a teraz rachuje
srebrzyste gwiazdy,
hojnemu Bogu...

OŻYWA JEZUS

Z chęcią kupiłem
na kiermaszu
wizerunek snycerski
- obraz Chrystusa
Umieściłem Króla
nad wersalką

Marzę przed snem
o Jego doli

I ujrzałem
jak po pejsach
toczy się
smużka krwi

Więc zdejmuję z szyi
złoty łańcuszek
Otaczam
Jezusa skroń

W tej chwili
Syn Maryi -
jaśniej szczęściem...

CHCĘ POCHÓWKU

Stolarz szykuje trumnę
Lękam się
pudła ściśniętego

Otóż w głębokiej glebie
ślad okleiny -
gnilnie przepadnie

Już wolę
u r n ę
na ckliwym cmentarzu

Niech Anioł z płaczem
doniesie -
marcinki

Niechże wicher ucałuje
złożone wstążki...

PRZECZYTANE

„Strofy o godnym locie”. Z wizytą w Czyżowym labiryncie poezji



Na okładce najnowszego tomu poezji uśmiechnięty pan. W rękę laseczka, torba, jak zawsze, przewieszona przez ramię. Wokół zieleni. Patrzę na zdjęcie Hlenia Czyż, bytowskiego poety, mojego przyjaciela, trochę strapię. Nie wiem, kiedy posiwiąt

Posiwiąt pomiędzy którym, a którym wierszem, wersem, tomikiem? Sam to ze zdumieniem zauważa: „Moje siwiuteńkie włosy sterczą jak grom z jasnego nieba” - pisze z uśmiechem.

Zagłębiam się w „Labirynt myśli”. To najnowszy zbiór, pełen światła, ale i mroku, jaki niesie z sobą niewyobrażalna bezradność wobec mijającego czasu. To chyba najbardziej dojmujące oblicze lirycznego „ja”. „Ja”, które posiadało mądrość niestrudzonego pielgrzyma, błądzącego po dobrze znanych ścieżkach. Niby te same, rozpoznawalne zapamiętane i na zawsze, a jednak wymagają nowego opisu i języka. Bo, ku przerażeniu obserwatora, znowu ktoś wdarł się do idealnego świata, i toczy swe uparte dzieło zniszczenia. Dlatego w wierszach, jak w małych kryjówkach na chłopięce skarby, poeta gromadzi swój subtelny lęk o przestrzeń najbliższą i umiłowaną. Jest pełen obaw, że „rozdrożony wiatr” połamie gałązki, że zginie za mgłą „rdzawe złoto”. Martwi go drżąca akacja, przejmując bólem śmierć fuksji.

Przecucie nadchodzącego końca dla tego, co piękne i delikatne wybrzmiewa tym bardziej dobitnie, im większy

kontrast dzieli świat natury od świata rzeczy. Rzeczy trwają i szpetnieją. Dar ulotnej przyrody jest boską sekundą. I tyle czasu wystarcza poecie, by zatrzymać obraz przyrody czyściej i nieskalanej. Ale trudno o wiarę, że piękne przetrwa. „Lampy nie błyszczą u łzawiącego lasku / przeżarte rdzą oczy kabli”, telewizor faluje i można go unicestwić tylko nanizaną na sznurki pamięci liryką. Któryś drań odarł drzewo z ulistnienia, a kiedy „sztuczne kwiaty wygładzają pory roku”, pojawia się marzenie o wiosnie. Niechże znowu nadejdzie! Może wraz z nią psy przestaną płaczliwie wyć, szpetne mury przystroją bluszcze, a najtańsza maść na egzystencjalny ból cudownie zadziała?...

W labiryncie niespokojnych myśli coraz częściej padają pytania o niebo. Czysta i wzniosła bywa przeszłość, ale i teraźniejszość znajdziemy pięknie oswojoną. „Idę miedzą jak królewicz / omijam chwasty / A chabry sercem rwę” - zapewnia poeta. I rzeczywiście tak jest. Widzę go z mojego okna. Jak przemierza nieśpiesznie swój czas. Dostrzega to, co umyka innym. Zbiera w labiryncie codzienności swe myśli. Nanizuje na nitkę pamięci swoje bukiety wzruszeń. Chwasty omija...

Barbara Kosmowska, Bytów

Henryk Czyż: „Labirynt myśli”, „Kurier Bytowski”, Bytów 2015.



Zdrewniała powłoka wiary



Zdrewniała powłoka łupiny w przyrodzie chroni niedojrzały owoc i zostaje porzucona, gdy owoc dojrzeje. Owoce granatu, orzecha, fasoli, grochu przenosi i przynosi życie. A język? Czy nie jest łupiną, pod którą poeta ukrywa soczystą treść codziennych spraw?

Zdrewniała powłoka - najbardziej ze wszystkich znaczeń przystaje do prezentowanych w rozdziale „W łupinie małej wiary” jedenastu wierszy powiązanych tematem w tomie wierszy „I nie wiadomo...” Iwony Danuty Startek. Tytuł rozdziału

opatrzonego fotografią samotnej kapliczki na stupie pochodzi z ostatniego wiersza rozdziału:

*„w łupinie małej wiary szukam Boga
bojąc się czy kolejny wodospad cierpienia
nie rozbije jej na drzazgi tak małe
że nie zadrasną oka*

*pod krzyżem bólu chwieje się trzcina
uparcie nie dając się zgiąć za bardzo
przeciw wichurom, deszczom i śnieżycom
prostując duszę hardą*

*do ujścia rzeki płynę dniem i nocą
nie licząc czasu za mną i przede mną
zanim staną wskazówki zegarów
czy dorosnę do wieczności”*

Wszystko jest tu metaforą. Liryczna sytuacja, motywy, treść przybierają formę przypowieści nie dającej się odczytać na podstawowym językowym poziomie. Pierwszoosobowy monolog liryczny jedynie wzmacnia odwołania do religijnej metaforyki: o źdźble w oku, trzcinie na wietrze, cierpieniu, hardej duszy. Dlatego przypowieść pozostaje osadzona w schemacie, a postać podmiotu lirycznego nie jest w stanie przekroczyć językowych znaków, które odczytać można tylko na poziomie alegorycznym. To przypowieść o jednostkowym poszukiwaniu Boga w drodze do wieczności - mimo upadków, słabości, klęsk; to przypowieść o dorastaniu do wieczności.

Mnie jednak niepokoi inna refleksja. Zdrewniała powłoka łupiny w przyrodzie chroni niedojrzały owoc i zostaje porzucona, gdy owoc dojrzewa. Owoce granatu, orzecha, fasoli, grochu przenosi i przynosi życie. A język? Czy nie jest łupiną, pod którą poeta ukrywa soczystą treść codziennych spraw? Trzeba by rozbić łupinę, także językowych przekształceń, powiedzieć tak, by „małą wiarą” odszukać Boga, by było ewangeliczne „Niechże wasze słowo „tak” znaczy tak, wasze „nie” - nie”. Czy potrafimy „dorosnąć do wieczności”, odrzucając „łupinę” zafałszowań, słownych gier, przemilczeń? Coraz ich więcej w relacjach między ludźmi, coraz głębiej skrywamy poglądy, przemyślenia na temat wiary, relacji wobec Boga. Albo łupiną, zdrewniałą powłoką staje się maska obliczona na poklask. W innym liryku poetka pisze:

„Bóg nas opuścił
żebyśmy zajaśniali

Bóg milczy
żebyśmy mogli przemówić

Bóg nie patrzy w naszą stronę
żebyśmy mogli Go dojrzeć

Bóg odchodzi
Żebyśmy mogli za Nim iść

Bóg umarł
żebyśmy mogli żyć”

Autorka wstępu do tomu wierszy „I nie wiadomo...”, z którego pochodzi cykl „W łupinie małej wiary” - Halina Ewa Olszewska, poetka i dziennikarka zwraca uwagę na miejsce

tematyki sakralnej w twórczości Iwony Danuty Startek. Poetyckie poszukiwanie tożsamości w obrębie kultury wymaga i takiej refleksji. Wiersz „Ukrzyżowany według Salvadora Dali” jest nie tylko rodzajem kontekstu, ale świadectwem miejsca, gdzie...

„Bóg ukrzyżowany w świecie bez Boga
samotność Boga bez człowieka”

„Krzyże Dali - czy odczytać z nich można więcej niż z teologicznych traktatów? Czy podświadomość artysty (każdego) nie sięga czasem pokładów wiedzy niewyraźnej, nieprzekazywalnej? Kiedy patrzę na obrazy Salvadora Dali - wydaje mi się, że tak? Że krzyże na jego obrazach odstaniają przed nami także, oprócz tych werbalnych, wyrażalnych, jakieś sensy przynależne do Innego Świata. A może tylko Salvatore, jak każdy artysta, konotuje w swoich dziełach wszystkie te sensy i odniesienia, które nasza zbiorowa pamięć przechowuje od wieków?”

Czytam te wiersze, również „pochylam głowę na popiół”, odnajduję własne myśli o przemijaniu i niezbadanym sensie istnienia. W poezji wszystko dzieje się w języku. Jak wyzwać się z łupiny stereotypów, schematów, którym bezwiednie ulegamy, a sytuacje zamykamy w frazeologizmach, przy pomocy których współczesnego człowieka poetka opisuje w wierszu *** (najczęściej uciekamy):

„najczęściej uciekamy
najczęściej gniewie i uwiera
cierpliwość wystawiona na próbę
najczęściej
gimnastykę robimy według innych figur
ćwiczmy chodzenie na przelaj i na skrót
lub obchodzenie kołem
dawanie z ręki do ręki
uniżone ukłony i bicie czołem
(...)
wołając o nadzieję
odnajdujemy najważniejszy układ
dla naszego ciała - ukrzyżowanie
najgłębszą mądrość - sumienie”

Czesława Długoszek, Objazda

Iwona Danuta Startek: „I nie wiadomo...”, Biłgorajskie Towarzystwo Literackie, Biłgoraj 2005.



Nasze słowa



Seks, spotkania, nawet długie rozmowy nie są w stanie udowodnić, że między nami istnieje miłość. Bronimy dostępu do siebie, do tego, co siedzi gdzieś tam w nas głęboko ukryte. Czujemy żal, że pewne sprawy kończą się bezpowrotnie, że wszystko po prostu zwyczajnie mija, tak jak wszystkie chwile dobre i złe

Rozmawiamy o miłości, obiecujemy sobie długie podróże dookoła świata. Tak bardzo tęsknimy za sobą, czasem wydaje się nam, że bez siebie nie damy już rady oddychać. W czasie patrzenia w sufit doskwierają nam uporczywe myśli. Cieszymy się, ale jakoś inaczej.

W ogóle dziwnie przyjmujemy życie, surowo, niemal dramatycznie. Siedzimy przed laptopami, tabletami, komórkami, telewizorami w ostrym pogotowiu uwagi. Zauważamy, że odkrywamy w sobie skłonność do drastycznego płątania logiki. Podskakujemy z radości, tak nas upaja piękna pogoda i to, że są wakacje. Słów na darmo nie rzucamy.

Dzieciństwo i młodość mają dla nas dziwnie ścieśniony wymiar, choć nieodmiennie wielkie znaczenie. Ważne słowa rodziców zapamiętujemy. Jesteśmy serdeczni i zgorzkniali, rozsądni i naiwni, uparci i słabi jednocześnie, świadomi własnej przegranej. Nie mówimy nic konkretnego. Męczy nas balansowanie między domysłami. Próbuje się olśnić naszych znajomych swoimi teoriami i projektami. Zamieniamy się w żałosne strzępy człowieka.

Bronimy się przed samounicestwieniem, przed ruiną, nakazuje nam tak czynić instynkt samozachowawczy. Sprytnie władamy frazesami. Tyle razy możemy odejść i nie odchodzimy. Ulegamy dziwnej fascynacji trwającej długo, zbyt długo. Jesteśmy stworzeni do monologu. Pilnie rejestrujemy we własnej pamięci najdrobniejsze ludzkie wyznania, uwagi i skargi. Wierzymy w tajemnicze sploty wydarzeń i w okoliczności sterujące losami. Zjawiamy się, żeby coś powiedzieć, może przed czymś ostrzec. Nasza rola polega głównie na potakiwaniu. Jesteśmy trudni do rozszyfrowania, straszliwie poskręcani wewnątrz, czymś okaleczeni, wręcz rozbici.

Wypalają się w nas ludzkie uczucia. Ciężko nam, bo zdajemy sobie sprawę, że nasze marzenia mają gliniane nogi. Nic nas jeszcze nie złączyło, a już wszystko poza nami. Wierzymy w cud. Ogarnia nas niewytłumaczalny lęk. Jesteśmy niczym maszyny zaprogramowane na zdobywanie najwyższych trofeów. Z porażek czerpiemy mądrość, może dlatego zwycięstwa tak bardzo nas cieszą. Przytuleni, zapatrzeni w dal kontemplujemy malowniczy zachód słońca zanurzającego się w morzu.

U nas zawsze tak samo, niczego nie da się zrobić. Niby chcemy zmylić instynkt, ale i tak idziemy udeptanymi ścieżkami. Niczego od nikogo nie chcemy. Każdemu zawsze mówimy prawdę, i to od razu, nawet taką, której on nie chce usłyszeć. Wiecznie niezadowoleni, narzekamy na ciągły brak pieniędzy. Mamy wszystko w dupie. W ogóle do kościoła nie chodzimy.

Nie jesteśmy już tacy zdrowi. Coraz gorzej słyszymy i widzimy. Uśmiechamy się i nie mamy o nic pretensji. Każdego

tak samo traktujemy. Mówimy dzieciom, co mają robić. Nigdy nie mówimy sobie słowa „kocham”, trudno jest nam powiedzieć coś, czego sami nie usłyszeliśmy. Dzwonimy do siebie, że śnieg, że pogoda, że dobrze.

Wracamy w białą, mroźną wolność, którą zachłystujemy się jak góskim powietrzem. Chodzimy na spacer, gramy w karty, jemy kielbasę z musztardą. Milczymy przez tyle lat. Uciekamy, nie chcemy być ze sobą. Tracimy autorytet. Mówimy do siebie prostymi słowami, jakby te zwykłe słowa nagle przestały być zwykłe. Nie mamy do siebie pretensji. Popadamy w drętą izolację od spraw codziennych.

Za wiele bierzemy na swoje barki, przeliczamy się. Bywamy niespokojni, spoglądamy z lękiem w niebo. Idziemy, ale jakbyśmy stali w miejscu; biegniemy, ale jakbyśmy się cofali. Wciąż się zastanawiamy i słuchamy własnego wnętrza. Słyszymy odpryski nachalnej cywilizacji, nagłe zderzenie czasów. Znowu jesteśmy na swoim miejscu. Ciężar odpowiedzialno-



ści spada na nas. Zapominamy o kłopotach, zabawiamy się, odpoczywamy, korzystamy z wszelkich możliwych atrakcji. Fundujemy sobie wagary od zwykłego życia. Z nie do końca jasnych powodów lubujemy się w podsumowaniach.

Coraz częściej mamy wątpliwości, czujemy, że czegoś nam brakuje, nie potrafimy nawet tego nazwać. Wciąż jesteśmy na etapie poszukiwań i chcemy wierzyć, że ktoś w końcu wyłoni się z mroku. Jesteśmy skłonni do usunięcia się w cień i czekamy cierpliwie na gest, małe skiniecie palcem.

Zaspokajamy się i znów znikamy. Udaje się nam zorganizować jakieś wspólne chwile.

Nasze szczęście jest gdzieś za mgłą, niewidoczne i nieosiągalne. Potrzebujemy czegoś innego, wiemy to, czujemy to wręcz namacalnie pod opuszkami palców. Brakuje nam poczucia spełnienia.

Dbamy o siebie jak nikt inny. Z naszych twarzy praktycznie nie schodzi pogodny uśmiech, nie sposób jest nas nie lubić. Toczmy z przyjaciółmi długie i sympatyczne rozmowy. Stoimy jak wryci, nie będąc w stanie wydusić słowa i zrobić jakiegokolwiek ruchu. Lubimy maj, z jego pełną paletą barw, zapachami, bżem, zielenią i świeżością; i z tą nadzieją obecną w każdym jego oddechu. Wspominamy pierwsze muśnięcie naszych dłoni. Zachowujemy się tak, jakby nic się nie zdarzyło.

Mamy okazję wybaczyć. Seks, spotkania, nawet długie rozmowy nie są w stanie udowodnić, że między nami istnieje miłość. Bronimy dostępu do siebie, do tego, co siedzi gdzieś

widzenia". Po raz pierwszy słyszymy, że jesteśmy kochani. Następnego sylwestra nie spędzamy już razem. Cierpimy, dzwonimy, chodzimy z kąta w kąt. Rozbieramy nasze „bycie razem” na czynniki pierwsze, analizujemy każde słowo, każde zdarzenie, każdy gest. Staramy się zrozumieć, gdzie popełniliśmy błąd. Znaczymy dla siebie bardzo wiele. Jesteśmy nieznosni. Nasze uczucia gdzieś tam się po drodze wypalają, znikają szybciej, niż się pojawiły. Nasze uczucia ulatniają się czasem niepostrzeżenie, tak jak się pojawiają.

Tęsknimy za sobą, pragniemy wzajemnej obecności, dotyku, a następnie zaczynamy wynajdywać powody, by odłożyć kolejne spotkanie. Jesteśmy inteligentni, zabawni, dobrzy. Mamy siebie gdzieś. Mamy ochotę wyjechać, daleko stąd. Nie ma chwili, żebyśmy o sobie nie myśleli. Nie wiedzieliśmy, że to możliwe, ale zakochaliśmy się jak gówniarze. Raz jesteśmy otwarci, raz spontaniczni, a za chwilę się zamykamy i jesteśmy jakby nieobecni. Wciąż pukamy do drzwi, a one raz się uchylają, a potem znów są zamknięte na zamek, do którego wciąż nie mamy klucza.

Wsuwamy się pod kołdrę i patrzymy sobie w oczy, w naszych oczach jest uległość i pożądanie, i ciepło, i radość. Zastygamy, zamieniamy się w słup soli. Stoimy z długimi, zwisającymi rękami, zboląłą twarzą, przygnębieni i bezradni. Mamy blade i zapadnięte policzki oraz otwarte usta i martwo patrzymy na siebie.

Stoimy przy oknie i uciekamy gdzieś strasznie daleko swoim zagubionym wzrokiem. Nasz sen jest jak ciężka kołdra, spod której nie możemy się wygrzebać. Leżymy w tej samej pozycji, nieruchomo, uspokojeni, cisi, odlegli i dziwnie obcy. Jesteśmy nieuchwytni, nieporównywalni z niczym innym, do niczego innego nieprzybliżeni, sami w sobie i sobą zastrzeżeni.

Odpływamy gdzieś do chmur, patrzymy w szare okno i trwamy nieporuszeni w miejscu. Wypisujemy się z tego świata, co widać gołym wzrokiem. Nasze kroki bywają ciche i ostrożne, stąpamy wtedy z godnością i majestatem. Nie fruujemy między aniołami. Jesteśmy przykładem dla innych, nie leniuchujemy w domu. Milcząco kiwamy głową. Dziwaczejemy, ni z tego, ni z owego zaczynamy się śmiać lub bez powodu płakać. Jesteśmy z natury dobrzy, współczujący, cierpliwi, uczciwi, szlachetni i pełni miłości. Niezwykle rzadko się niepokojymy, jeszcze rzadziej denerwujemy; na naszej zazwyczaj uśmiechniętej twarzy jakiegokolwiek grymas wygląda nieco dziwnie.

Mamy złe sny, od czasu do czasu budzimy się w środku nocy dręczeni wciąż tym samym koszmarem. Zaciskamy oczy, żeby odgonić łzy. Nasze kryształowe oczy błyszczą tysiącem iskier. Każde słowo, jakie sobie dajemy, to skarb. Zasłaniamy sobie twarz dłonią i wybuchamy śmiechem. Dajemy sobie kuksańca. Czujemy, że tracimy kontakt z rzeczywistością. Czekamy na dzień, gdy staniemy się jednością. Oczy mamy spuchnięte od płaczu. Tatuaze na naszych ramionach wydają się więc jak węże-kusiele. Pozornie chłodni, skrywamy w sobie niekończącą się słodycz.

Dajemy sobie dobre rady, nie żądając niczego w zamian. Umiemy przywrócić sobie spokój za pomocą kilku zdań płynących prosto z serca. Szukamy odpowiednich słów. To, co chcemy powiedzieć, nie jest łatwe. Zmieniamy się, jesteśmy wściekli na cały świat, bardziej niż zwykle; wtedy nie szanujemy już niczego, nawet uczuć innych ludzi. Nasze słowa potrafią przeszyć kogoś na wylot. Nie chcemy, by ktokolwiek widział łzy zawieszone na naszych rzęsach. Wierzmy, że nie wydarzy nam się nic złego. Cieszymy się każdą minutą, każda chwila jest dla nas cenna. Nasze krótkie, wspólne chwile pachną wiecznością.

**Grzegorz Chwieduk
Kępice**



tam w nas głęboko ukryte. Czujemy żal, że pewne sprawy kończą się bezpowrotnie, że wszystko po prostu zwyczajnie mija, tak jak wszystkie chwile dobre i złe. Niektórych rzeczy nie udaje się nam powtórzyć, próbujemy z całych sił, ale nasze wysiłki i tak są na nic. Przestajemy po pewnym czasie wierzyć w miłość od pierwszego wejrzenia, taką zwiariowaną, szczerą i mocną, taką, która odbiera zmysły.

Nie jesteśmy dla siebie przeznaczeni. To nasze bycie razem szybko się kończy, któregoś dnia mówimy sobie „do



Laura

W bogatym dworze w Kurowie wraz z dziadkami Nikodemem i Marią wychowywała się Laura. Była jedyną ich wnuczką, której matka zmarła w połogu. Niezwykle urodziwa dziewczynka miała filigranową budowę ciała i niestychanie wrażliwą psychikę. Dziadkowie, bogaci ziemianie byli jedynymi jej krewnymi. Starali się, aby wychowywała się w dostatku i pod okiem dwóch guwernantek uczyła się łaciny i wielu innych przedmiotów potrzebnych panience z dobrego domu



Szczególną troską otaczano jej wątłe zdrowie, gdyż występujące u niej ataki epilepsji - choroby na tamte lata nieznaanej, a postrzeganej jako opętanie przez złe moce - występowały dość często. Kiedy Laura skończyła osiemnaście lat, jej babcia Maria odeszła we śnie, a dziadek postanowił ją wydać za bogatego kupca żydowskiego, starszego od niej o całe dwadzieścia dwa lata. Dwudziestego pierwszego marca 1865 roku Nikodem nie chcąc, aby jego ukochana Laurka została starą panną, postanowił wydać przyjęcie zaręczynowe. W nocy, w pełnej poświacie księżyca, Laura łkając w szydełkowaną koronkami poduszkę, usłyszała głos zmarłej babki, która odradzała jej to małżeństwo bez miłości, a jedynie zawarte w celu pomnożenia majątku. Rano, kiedy Laura wyszła do ogrodu i zaczęła przechadzać się, podziwiając budzącą się do życia przyrodę, i rozpamiętując nocny dyskurs z nieboszczką, powzięła decyzję, że mimo wszystko nie będzie się sprzeciwiać woli swego opiekuna i podpisze ślubną intercyzę.

Stawiwszy się na umówioną godzinę w gabinecie dziadka, Laura sięgnęła po pióro i wtedy... stało się coś dziwnego. Jakaś nadprzyrodzona siła - jakby w celu przeszkodzenia złożeniu podpisu - wywołała u niej silny atak epileptyczny. Dziewczyną zatrzęśto tak silnie, że obecny przy tym opiekun z trudem odjął jej dłonie od poręczy wieńczącej blat biurka. Kałamarz całą swoją zawartość atramentu wylał na nieszczęsny dokument. Dla Laury był to widomy znak, że jej babcia Maria czuwa przy niej i nie ma po co próbować zmieniać jej zdania. Rozpacz dziewczyny była tym większa, że wykrzykując iż nie godzi się na zamążpójście, sprzeciwiła się woli dziadka, hańbiąc nie tylko jego dobre imię, ale i swoje własne oraz potencjalnego narzeczonego, który zgodził się z nią ożenić, pomimo jej ułomności zdrowotnych.

Nieszczere intencje narzeczonego wobec Laury znała tylko babcia, która była na tamtym świecie i nad wszystkim czuwała. Wkrótce po zaistniałym incydencie dziadek

poważnie się rozchorował i mimo troskliwej opieki wnuczki, umarł. Młoda dziewczyna została zupełnie sama z ogromnym majątkiem, ale bez żadnego pojęcia, jak nim zarządzać. Bez mężczyzny, który mógł by ją wspierać i jej pomagać. Laura kilkakrotnie jeszcze odrzucała zaloty innych kawalerów, upatrując w nich jedynie chęci zagarnięcia dóbr Kurowa, a babka jeszcze kilkakrotnie w nocy prowadziła z nią dysputy co do losów majątku, namawiając wnuczkę, aby sprzedała dobra i przekazała fundusze na budowę kościoła w Lublinie. W domniemanym przez Laurę zamyśle nieboszczki pozostawała nadzieja, że ofiara sprawi wyswobodzenie jej z mocy uciążliwej choroby. W dniu 15 maja 1876 roku majątek ostatecznie został sprzedany. Laura kupiła kamienicę w Lublinie przy ulicy Brukowej, a resztę pieniędzy przekazała na budowę kościoła.

Po kolejnej bezsennej nocy z powodu uporczywego bólu, Laura przysnęła nad ranem, by obudzić się na odgłos kukutki zegara w salonie wykrzykującej godzinę ósmą. Z trudem uniosła ciężkie powieki i rozmasowała dłońmi twarz. Zaspasła usiadła na swoim metalowym łóżku i wlepiła wzrok w sękatę deski podłogi. Przez firanki wdzierało się blade światło poranka. W jego czerwono - złotych smugach unosiły się srebrzyste drobinki kurzu. Zza okna wydobywały się dźwięki budzącego się miasta. Laura powoli wstała i niedbałym ruchem dłoni przeczesła swoje długie blond włosy. Szyja bolała więc wygięła ją mocno, jak to robi zraniony ptak, aż chrupnęło. Biorąc głęboki oddech ze skamieniałą twarzą podeszła do okna i otworzyła je. Chłodny wiatr wdarł się do niewielkiego pokoju na poddaszu. Kolejny dzień jej staropanieńskiego życia zaczął się jak każdy inny nie zwiastujący szczególnych zmian na lepsze jutro.

Kobieta, nie pozostawiając sobie złudzeń, tępo patrzyła na witające ją sztyletowate promienie słoneczne, które ogrzewały jej bosc stopy, siejąc okruchy nadziei. Ludzie chodzili już tu i tam, krzątając się wokół własnych spraw i problemów. Karczmarz zamiatał przed swoją oberżą, kupiec głośno nawoływał przechodniów do zakupu swoich towarów, a przekupka z sąsiedniego stoiska dała się wniebogłosy, próbując zwrócić na siebie uwagę. Na ulicy turkotała po kocich łbach dwukółka, tocząc się leniwie. Woźnica krzyczał i kłął jak szewc, bo gromadka rozbrykanych dzieci wbiegła mu wprost pod konie, płosząc zwierzęta.

Laura odeszła od okna, podeszła do szafy, otworzyła ją i po krótkim namyśle wybrała najładniejszą swoją sukienkę z organantyny w kolorze ciepłego różu. Na głowę założyła kapełusik słomkowy z fikuśnym wykończeniem ronda. Rozejrzała się po pokoju, jakby chciała zapamiętać każdy szczegół, przeżegnała się i wyszła. Wolnym krokiem skierowała się w stronę bramy małego kościółka. Otworzyła ją z oporem, aż kute zawiasy jęknęły rozdzierająco w proteście. Usiadła w pierwszej ławce, aby Najwyższy mógł ją dostrzec, a i ona mogła spojrzeć prosto, wyobrażając sobie, że patrzy Mu w oczy, i zadać z głębi duszy kilka nurtujących ją pytań, na które nie znała odpowiedzi.

Schodząc z tego świata z własnej woli, musiała się upewnić, że nie ma dla niej nadziei na zmianę i nie będzie jej nikt na tym świecie opłakiwał. Nagle jej wzrok zatrzymał się na trzech bezładnie leżących na ziemi sylwetkach. Obok o ścianę stały oparte mary. Nad nieboszczkami pochylali się ksiądz Ambroży z kościelnym Jakubem. - Psia krew! - mruknął Jakub i dorzucił jeszcze kilka szpetnych przekleństw ku przeżalonemu spojrzeniu księdza.

- O bogowie! - jęknął ksiądz, rozpoznając w zmarłych rodzinę Morawskich.

- Ale co się stało? - zapytał sam siebie Jakub, kiwając z niedowierzaniem głową. Obok ojca pana Morawskiego z

grymasem przerażenia leżała jego żona i w skulonej pozycji ich syn.

W Lublinie panowała tajemnicza choroba zwana hiszpanką. - Czyżby ona była sprawczynią tego okrutnego nieszczęścia? - przemknęło przez myśl kościelnemu, który dopiero teraz zauważył kłęczącą Laurę. Dziewczyna nie spuszczała wzroku z Jezusa wiszącego na krzyżu.

Odrętwiała z przerażenia Laura widząc rozmiar nieszczęścia, którego stała się mimowolnym świadkiem, nagle uświadomiła sobie, że z bocznej nawy dobiega słabe kwilenie niemowlęcia. Obejrzała się za siebie. Nikogo tam nie było jednak, ale... słuch ją nie mylił. Wydawało jej się, że słyszy dziecko. Uświadomiła wtedy sobie, że to nieszczęście spotkało jej sąsiadów z oficyny. Skoro tak, brakuje niemowlęcia... Jeszcze raz przyklękła, aby dokończyć swoją modlitwę. Dziecko na pewno zostało samo w mieszkaniu. - O Boże!.. Co z Rozalką? - przypomniała sobie jej imię. - Chyba żyje? Myśli bombardowały jej umysł ze zdwojoną siłą. Poderwała się z kłęczek i czym prędzej popędziła na oślep, potykając się o przechodniów.

Nadprzyrodzona chyba siła unosiła ją, dodając przystoiwowych skrzydeł. Gdy stanęła przed drzwiami Morawskich, bez pukania i czekania na zaproszenie z zewnątrz, pchnęła je z całej siły. W progu nagle wyrósł rosty młody mężczyzna o czarnym, od kilku dni nie golonym, zarostie.

- Och witaj, Laura! - Ucieszył się na jej widok. Laszlo Budzyn, syn emigranta z Węgier trzymał na rękach zawiniętą w kraciastą chustę trzymiesięczną Rozalkę, która zanosila się płaczem. Laszlo terminował u kowala. Chłopak obejmował niezdarnie swoimi wielkimi łapskami niemowlę, próbując je na swój sposób uspokoić.

- Józefie święty! Laszlo, co tutaj się stało?!

Węgier chyba sam też zadawał sobie to pytanie, bo stał na rozstawionych nogach jak zaporą.

- No suńże się, cholera! - ponagliła go Laura. Zdenerwowana kobieta odepchnęła mężczyznę i sprytnym ruchem jednocześnie odebrała zanoszące się płaczem niemowlę. Przytuliła go do piersi i zaczęła głaszać po główce. Laszlo nadal stał i patrzył na Laurę, która starała się uspokoić dziewczynkę. Po chwili ruszył do kuchni, aby znaleźć butelkę z mlekiem. Laura tuliła małą, a spływające na nią nieoczekiwane macierzyństwo zacierało widmo jej bezsilności, która owładnęła ją tego poranka.

- Dziwne - mruknęła sama do siebie, kładąc w kotłuskę uspokojone i nakarmione dziecko.

Laszlo wymknął się niepostrzeżenie, pozostawiając uchylone drzwi. Na stole leżała kartka, na której koślawym pismem wykaligrafował informację dla niej: „Będę z mlekiem”.

Do pokoju wwiewał chłód sprawiający, że na ciele Laury pojawiła się gęsia skórka.

- Co ja chciałam, Boże, co ja chciałam najlepszego zrobić? Co stało by się z tym bezbronnym dzieckiem, gdybym popełniła samobójstwo? - Zadając sobie te pytania, długo wpatrywała się w pobielany wapnem sufit, powoli dochodząc do siebie.

Laura spojrzała na śpiącą dziewczynkę i uśmiechnęła się pierwszy raz od wielu miesięcy.

Mała Rozalka rozwijała się jak pączek różu. I tak często nazywała ją Laura, kiedy maleństwo z rumieńcami na twarzy wypowiadało pierwsze niezdarnie składane sylaby w słowie mama. Laszlo Roch Budzyn był teraz w domu Laury częstym gościem. Przychodząc pod pretekstem opieki i dostarczania mleka dla Rozalki. Laura nawet polubiła te wizyty, co zapewne sprawiło, że z czasem stawały się one coraz częstsze.

Laszlo sam nigdy nie przypuszczał, że taka „mimoza” jak Laura będzie w stanie znaleźć w sobie na tyle siły i miłości, aby sprostać trudom wychowania małego dziecka. Do tego tak silnie oddziaływać na jego zmysły, budząc pożądanie.

Tego lata Laura postanowiła z Rozalką wyjechać na wieś do swojej matki chrzestnej Aureli Jakubiec. Laszlo zaproponował jej wynajęcie od kowala bryczki. I... własne towarzystwo w podróży.

W małym gospodarstwie Aurelii znajdował się duży sad i ogród warzywny, a co najważniejsze - świeże mleko od krowy dla Rozalki. Byłby to zapewne całkiem normalny wyjazd poza miasto, gdyby niecodzienne obcowanie ze sobą tych dwojga młodych ludzi. Laura, ta filigranowa osóbką była niezwykle atrakcyjną kobietą i miała silny wpływ na Węgry. On, w przeciwieństwie do niej, nosił w sobie gorący temperament. Laszlo coraz częściej tupał się na tym, że mimo woli obserwuje ją na każdym kroku. Patrzy jak się porusza po sadzie, a to niosąc na ramieniu kosz jabłek, a to jak siada na ławeczce pod klonem zakładając nogę na nogę pod przewiewną batystową, długą do ziemi sukienką, by potem, jak wstaje i idzie przez ogród, kołysać kuszając biodrami. Jego wzrok przykuwały kształtne, swobodnie układające się piersi Laury, kusząc i nęcąc go niezwykle mocno.

Na obserwacjach jednak zawsze się kończyło. Coraz mocniej biło jednak jego serce na widok krzątającej się po obejściu Laury, a i ona coraz częściej wydawała się być mu bardziej przychylna, wymieniając z nim przypadkowe spojrzenia i uśmiechy przyozdabiane leciutkim, nieśmiałym rumieńcem.

Miłość przyszła do Laury tak nieoczekiwanie, jak i nieprzewidziane jej macierzyństwo. W drugą niedzielę pobytu w Kurowie do matki chrzestnej przyszli swaty - w towarzystwie

krewnego Laszlo - Dobora Budzyna omówić sprawę zrekowin. Po smakowitym gościńcu ustalono ostatecznie termin, kiedy młodzi złożą sobie przyrzeczenie narzeczeństwa.

Dziesiątego lipca 1880 roku starosta ceremonii zaręczyn poprowadził Laurę i Laszlo wokoło stołu, okrążając go trzykrotnie. Na stole, na pięknej koronkowej serwecie, ułożono zaręczynowy kołacz w kształcie plecionki. Laszlo szedł wpatrzonej w dziewczynę, której za chwilę miał złożyć przyrzeczenie zaślubin. Gdy oboje usiedli na przystrojonych odświętnie krzesłach, ich ręce połączyły się nad chlebem. Dłonie oblubieńców na znak połączenia w przyszły związek starosta uroczystości przewiązał chustą specjalnie zrobioną przez koronczarkę Józję.

- Z wolą, czy z niewolą związana? - starosta zapytał trzykrotnie.

- Z wolą - odpowiedzieli zgodnie goście zebrani na uroczystości.

Starosta rozwiązał ręce młodym, przełamał chleb na pół i podał narzeczoną. Laszlo pomalutku ujął delikatną dłoń Laury i wsunął pierścionek z rubinowym oczkiem na jej serdeczny palec. Oblubienica chcąc mu podziękować, w prezencie podarowała ukochanemu własnoręcznie uszytą lnianą, bieloną na słońcu koszulę z wyszytym jego monogramem. Laszlo po raz pierwszy oficjalnie objął ją i pocałował. W podarunku pani swojego serca ofiarowując dodatkowo własnoręcznie wykonaną przetyczkę do kądzieli i rzeźbioną przesłonicę oraz piękną parę skórzanych trzewiczków.

Na stoły wniesiono jadło i napitki. Laszlo trzymał na rękach Rozalkę, która wbijała mu się rączkami w sumiaste, wywiniete na bindę wąsy, i figlarnie przekrzywiając główkę śmiała się do siedzącej obok mamy.

Zofia Kamińska-Smalewska, Naémierz



Renata Świnder - Ustka

Udzielam się w Klubie Haftu Artystycznego, należę też do Usteckiego Klubu Plastyka i uczestniczę m.in. w warsztatach ceramicznych Bałtyckiej Galerii Sztuki w Ustce. Ostatnio z zaciekawieniem poznaję i staram się zrozumieć świat ludzi starszych. Jestem wrażliwa na piękno i cenię sobie słowo pisanie. Dlatego od jakiegoś czasu sama też próbuję pisać. (z)

MIŁOSIERDZIE

*Gdy stoję w prawdzie przed Bogiem,
I nic już zdziałać nie mogę,
A usta me klepią modlitwę...
I wpadam w coraz to głębszą sitwę:
Mych myśli pokretnych,
Mych słów kłamliwych
Mych czynów złośliwych...*

*I patrzę i dojrzeć się staram,
I chcę zrozumieć a mała ma wiara...
I szukam i nie znajduję.
I słucham a przyjąć do siebie nie umiem...
Oceniam a nie powinnam,
Ja przecież też jestem winna...*

*I duszą pukam w konfesjonału kraty
Tyś Jezu tam tak bogaty*

*Rozdajesz skarby miłością okryte;
I wiem już i czuję i rozumiem...
I pojąć umiem.
I wstaję i idę ze łzą radości
I sercem bez złości.
I czerpię z miłosierdzia naczynia,
I nowe życie zaczynam.*

NAGIE EMOCJE

*Tylko mi zostaw twe usta
na naszej wspólnej poduszce,
zanim znikniesz za rogiem
ja swą tęsknotę wypuszczę.*

*Tylko mi zostaw twe oczy
tu na lusterku w łazience,
zanim swą talią przysłonisz
żółte tapety kaczeńce.*

*Tylko mi zostaw wspomnienie
twojej cery niczym aksamit,
zanim me serce rozpali
woń twojego ciała - dynamit...*

*Tylko mi zostaw twe dłonie
tu na mej twarzy odbite,
zanim zdołam policzyć
wszystkie całuski zdobyte.*

*Tylko mi zostaw wejrzenie
w kształtne twe uda ponętne,
zanim myśl ma wyczyta
wszystkie słów tchnienia namiętne.*

*Tylko mi zostaw emocje
tak nagie jak wspólne poranki
zanim brzmieć będą na nowo
ciał naszych wspólne organki.*